N. 23. WARSZAWA d. 27 Maja (8 Czerwca) 1872 ROKU.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

OD REDAKCJI.

Tygodnik Mód i Powieści wychodzić będzie i w trzecim kwartale r. b. pod tymi samymi warunkami.

Prenumerata pozostaje ta sama, a mianowicie kwartalnie w Warszawie rs: 1 kop. 50.

Na prowincji z opłatą pocztową:

kwartalnie Rs. 2.

półrocznie Rs. 4.

Należytość prenumeracyjną prosimy przysyłać **wcześnie wprost do Redakcji** pod adresem J. K. Gregorowicza, Ulica Żabia N. 956.

Przyjaciel Dzieci

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE dla dzieci od 5 do 14 lat wieku i w kwartale trzecim r. b. wychodzić będzie. Prenumerata nadzwyczaj niska pozostaje ta sama.

Kwartalnie w Warszawie kop. . . . 75.

Na prowincji i w Cesarstwie z opłatą pocztową kwartalnie rs. . . . 1

półrocznie „ 2

Należytość prenumeracyjną prosimy przysyłać pod tym samym adresem, jak na Tygodnik Mód i Powieści.

FAYUM, SINAÏ I PETRA

PODRÓŻ

DO ŚRODKOWEGO EGIPTU I ARABJI SKALISTEJ

ODBYTA PRZEZ

SŁYNNEGO ARTYSTĘ MALARZA GÉROME

ORAZ

JEGO TOWARZYSZY I UCZNIÓW

STRESZCZONA

przez **Joannę Belejowską.**

Hop!!! Krzyknął nasz sternik dopływając wybrzeży afrykańskich, a okrzyk ten zwiastował nam, że nareszcie uchyli się przed nami wielka kurtyna zasłaniająca Wschód i jego cuda.

Dobijaliśmy do brzegu; gęsta mgła zaciemniała horyzont, słońce, jakby wiedząc że ma rozjaśnić jedno z najwspanialszych królestw swoich, kazało długo na siebie czekać, zanim nareszcie złota jego tarcza pojawiła się po nad wodą.

Wyobraźnia nasza, uprzedzając bieg okrętu, upatrywała najrozmaitsze niewidzialne przedmioty. Ach! patrz, widzisz, to lub owo?.. oto palmy... tam znów wielbłądy... minarety i t. p. a wszystko to ulatniało się gdzieś w miarę zbliżania.

Nareszcie stanęliśmy w wspaniałym porcie z po za którego wyłaniała się Aleksandrja. Zawizowawszy pasporta, zadeklarowaliśmy, że nasze paki z nabojami zawierają konserwy angielskie i co prędzéj udaliśmy się do hotelu.

Na ulicach Aleksandrji wszystko leci jak kamyki pędzone prądem strumjenia; wszyscy depczą sobie po nogach i potrącają się niemiłosiernie, rzekłbyś z zasady lub z przekonania. Osły, konie, wielbłądy zajmują główne miejsca na ulicach i chodnikach a po za nimi dopiero muszą się mieścić idący pieszo oraz kobiety odziane w długie niebieskie suknie, dźwigające bajeczne ciężary lub otoczone gromadą dzieci, czepiających się ich ubrania.

Hotel w którym stanęliśmy, dostarczył nam dwóch powozów europejskiego pochodzenia, i zaraz wyjechaliśmy zwiedzić miasto tak pełne wspomnień historycznych. Niezadługo znaleźliśmy się u stóp klassycznéj kolumny Pompejusza, mającéj 30 metrów wysokości, (22 metr. trzyma sam słup kolumny i 9 obwodu). Jest wyrobiona z granitu czerwonego, w stylu niby korynckim.

Kolumna ta zawdzięcza dni swoje konsulowi Publiuszowi, który kazał ją wystawić pewnego pięknego poranku, porwany napadem uwielbienia dla cesarza Dioklecjana. Dziś najciekawszym tu przedmiotem widzenia, jest zbiór najróżnorodniejszych żebraków osiadających ją do koła, krzykliwie napastujących podróżników, którym wtykają gwałtem, dla wydrwienia grosza, bajeczne szczątki pomnika, po dziś dzień nietkniętego ręką czasu. Nieco opodal leżą złomy czerwonego granitu, które do nieskończoności będą mogły zadawalniać zachciewki miłośników historycznych pamiątek.

Przypatrzywszy się kolumnie i żebrakom, pojechaliśmy nad brzeg kanału *Mahmondich*. Olbrzymia ta praca wykonana została z rozkazu Mehmeta-Alego; kanał obejmuje 78 kilometrów przestrzeni, uwijają się po nim nieustannie łodzie i statki całego Egiptu. Stanowi on główny środek kommunikacyjny między Kairem a Aleksandrją.

Kanał ten jest nadzwyczaj ważny pod względem handlu i przemysłu, za jego to pośrednictwem odbywa się na wielką skalę wywóz zboża i przywóz wyrobów z Zachodu. Nadto odznacza się on jeszcze najcudniejszem w świecie położeniem i widokami: tu po raz pierwszy uderzyło nasze oczy nieprzebrane bogactwo egzotycznéj roślinności. Po nad brzegiem ciągną się niezmierzone okiem aleje z tamarysu

i drzew cytrynowych, orzeźwiający cień roztaczające dokoła; po za niemi rozsiadły się przepyszne wille magnatów wschodu, z pałacami upstrzonymi najdziwaczniejszą mięszaniną kolorów, odbijających jaskrawo w pośród najróżnorodniejszéj zieloności.

Jeżdżąc z ulicy w ulicę, dojechaliśmy do obelisków Kleopatry. Jeden z nich jest całkiem prawie zagrzebany w stosie rozmaitych gruzów, a drugi zakryty do połowy zdaje się zapadać jakby leciał szukać swego towarzysza. Ozdabiające go hieroglify dobrze się zachowały, sięgają czasów Tutmesa III, z ośmnastéj dynastji, i w owéj też epoce wzniesione były, niby strażnice strzegące świątyni słońca. Kleopatra, nie lubiąca obliczać się z wydatkami, sprowadziła je z Memfis do Alexandrji, dla przyozdobienia wielkiéj świątyni, którą swoim kosztem wystawiła Cezarowi, nie zważając na pociski złych języków.

Spieszno nam było opuścić Aleksandrję, aby jak najprędzéj dostać się do Kairu. Dawniéj drogę tę odbywano kanałem Mahmondich, dziś jest już koléj żelazna, ale chodzi bardzo nieregularnie i nie codziennie. Noc ta spędzona w hotelu alexandryjskim była dla nas bardzo *bolesna*, a dla mystyków *nie zdrowa*, gdyż najniezawodniéj dostały niestrawności po uczcie, jaką sobie wyprawiły naszym kosztem.

II.

Szczęśliwym trafem, pociąg odchodził bez wdania się wicekróla.

Wsiedliśmy do wagonów pierwszéj klassy, zdobnych w zwierciadlane szyby i różne malowidła, podobnych nieco do staroświeckich pudełek na klejnoty. Pierwsza stacja wypadła w *Dumanhur* i była to także pierwsza wioska egipska przedstawiająca się nam w warunkach pożądanych dla malarzy Wschodu. Domki z gliny lub z cegły cisnęły się do siebie w nieładzie, w pośród nich wystrzelił ładny minaret, a tu i owdzie kołysały się zielone wierzchołki, wysokich palm. Z pierwszego wejrzenia wioska wyglądała na cmentarz, tak była pusta i jakby bezludna, gdyż w téj skwarnéj godzinie cała ludność spoczywała z wyjątkiem kilku kobiet które wiedzione chęcią zysku, odważyły się znosić palące ciepło promieni słonecznych, i podchodziły do drzwiczek wagonów dla sprzedawania mizernych bardzo wyrobów swego przemysłu, oraz pomarańczy, świeżych jaj, *araki* i mleka wielbłądów. Niewymyślne te chłodniki licznych znajdowały lubowników, szczególniéj w wagonach czwartéj i piątéj klassy.

Gwizd dał się słyszeć i ruszyliśmy daléj, tu postać kraju zaczęła się zmieniać, znać było że dostajemy się do serca Egiptu, którego urodzajna ziemia nieprzebrany skarb stanowi. Wszystkie zboża były jeszcze zielone; jak okiem zasięgnąć można było rozlegały się łany najrozmaitszéj zieloności. Palm w ogóle nie wiele, ale wszędzie ślady dokonanych lub rozpoczętych prac irrygacyjnych. Między innemi zwróciła naszą uwagę wielka rozmaitość ptastwa nieprzestannie latającego obok pociągu, jakby chcąc okazać że mu dorównają prędkością.

Cała powierzchnia gruntu jest nader umiejętnie poprzerzynana małemi strumieniami wody, nad wybrzeżami których gromadzi się najróżnorodniejsze ptastwo, małe i wielkie, jako też najrozmaitsze zwierzęta wszelkich rozmiarów, a pomimo téj różnicy rodu, wielkości i usposobień wszystko to żyje razem w najlepszej zgodzie. Wielbłądy i bawoły uwijające się nieustannie obok drogi żelaznej, spoglądają z niezachwianą obojętnością na bieg pociągu, okazując tem lekceważeniem że już przesyciły się gwizdem, parą i lokomotywą.

Siedzieliśmy cicho rozglądając się w około, gdy naraz ze wszystkich piersi wydarł się okrzyk: Patrzcie! patrzcie!... Co?.. gdzie?...odezwało się kilku z naszych współtowarzyszy, zajętych w owéj chwili zajadaniem zimnej cielęcej pieczeni, widać z obawy aby się nie przepiekła, jeśli dłużej poleży pod tak gorącem niebem. Piramidy!.. piramidy!..odrzekł Gérome, nasz ukochany mistrz i przewódzca, z miną człowieka witającego dawną swoją znajomość z przekonaniem, iż się bardzo ucieszą oglądając go znowu.

Trzy olbrzymie piramidy zarysowały się wyraźnie na jasnym horyzoncie—i ujrzeliśmy z oddali te olbrzymy kamienne, dozwalające niemal wątpić o końcu świata.

Od strony drogi żelaznej Kair wygląda jak las minaretów i kopuł. Przybyliśmy doń nareszcie, aby napawać się jego osobliwościami, jego odrębną od wszelkich innych miast wyróżniającą go cechą.

(d. c. n.)

Trochę prawdy

Z DZIEDZINY MUZYKI

z powodu koncertu Władysława Żeleńskiego i jego utworów.

PRZEZ **Zygmunta Noskowskiego.**

Każdy człowiek śledzący objawy życia artystycznego, dopatrzeć może w obecnym czasie symptomu nie bardzo pocieszającego pod tym względem, że ogół młodzieży kształcący się w sztuce muzycznéj, pragnie przedwcześnie zbierać niezasłużone laury i dostąpić zaszczytnego miana artysty.

Ileż to na estradzie koncertowéj przemknęło się w ubiegłych kilkunastu latach, ludzi albo rokujących wielkie nadzieje, albo już dosięgających szczebla artyzmu, a jednak jak mało z nich stoi obecnie na wybitniejszém stanowisku! Oklask który ogół publiczności zbyt pochopnie udziela niezasłużonym,jakże dla wielu stał się przeszkodą w połowie drogi i sprowadził umysł nie jeden na manowce fałszywych pojęć, spaczonych poglądów na sztukę. A jakże często zdarza się słyszeć potém o takim pseudo-artyście zdania: „to bardzo zdolny człowiek! miał *talent*! był to *wielki talent!*"

Talent!.... To słowo magiczne a jednak zużyte zbytniém szafowaniem na wszystkie strony! Słowo którego całą doniosłość wtedy dopiero ocenić można, gdy rzeczywiście utalentowany człowiek stanie przed sąd publiczności i rozrzuci przed niemi perły prawdziwego natchnienia, roztworzy krainy nieznane pełne blasków i uroku, w które potęgą ducha swojego wstąpił i przystępnemi dla wszystkich uczynił.

Baczny spostrzegacz zapewnie i na to zwrócił uwagę, że w kraju naszym, który od niewielu lat dopiero posiada ułatwione kształcenie się w muzyce przez otwarcie Instytutu Muzycznego, bardzo wielu znajduje się artystów, jeżeli pod to miano podciągniemy tych, którzy z potrzeby wzięli się do zarabiania, czy to przez dawanie lekcji, czy téż na inném polu.

Pośród nich znajduje się wielu *kompozytorów* którzy pilnie strzegą aby ich tak tytułowano. Jeżeli zaś weźmiemy przed oczy wydawnictwa nut, to możemy znaleźć utwory osób nie należących do świata artystycznego, ale które również chcą mieć prawo do tytułu kompozytora. Jest to choroba społeczeństwa naszego, a dowodów na nią znaleźć można np. w Kurjerach opiewających, że p. X. kompozytor napisał nowego walca w trzech częściach, lub że autor Marsza *utworzył* Kadryla z jakiéj opery i t. p.

W prywatnych towarzystwach często nie jeden artysta jest w kłopotliwem położeniu, gdy mu przedstawią jakiego kompozytora. Radby z nim pomówić o sztuce, a tu napotka pojęcia z któremi walczyć nawet niepodobna i w rezultacie dowiaduje się, że ów *kompozytor*, sklecił Kontredansa z motywów Offenbacha!

Na jakież tedy miano zasługuje Moniuszko, jeżeli tacy autorowie kompozytorami się nazywają?

Zdarza się zapewnie, że można dostrzedz iskrę talentu w masie drobnych utworów, które u nas wychodzą, ale przysypana ona jest warstwą naleciałości szkodliwych, oraz najczęściej ulega kierunkowi, który w sposób zastraszający rozwija się nietylko u nas, ale w całym prawie świecie. Chcę tu mówić o tak zwanéj muzyce salonowéj która nic nie ma wspólnego z muzyką pokojową czyli kamer-musiką. Trudno by istotnie powiedzieć jakie okoliczności przyczyniły się do wytworzenia salonowéj muzyki. A jednak od czasów jéj powstania stosy utworów salonowych wydanych, stanowią ilość może wyrównywającą utworom *sztuki*. Można im wszakże przyznać, że spełniają swoje zadanie i usprawiedliwiają swój tytuł. Echa téj muzyki rozbrzmiewają po salonach i salonikach, rugując z nich muzykę poważniejszą lub téż ją na drugi plan spychając.

Muzyka jako *sztuka* wciska się tym sposobem do salonów często jako gość nieproszony, najczęściéj cierpianą jest jak *malum necessarium.*

Gdybyśmy chcieli zrobić porównanie między jedną i drugą muzyką, to najwłaściwiéj salonową muzykę przyrównać można do owych figurek porcelanowych które zdobią (!) salony dzisiejsze, stojąc w serwantkach, na półkach, stolikach etc. Jakże one różne są od posążków, z pod dłuta artysty wyszłych. Figurki takie zdają się być parodją człowieka. Te namalowane na czarno oczy i włosy, owe rumieńce symetrycznie na obu policzkach umieszczane, wyśmiewają się jakoby z nas, wtedy, gdy marmurowy lub gipsowy posążek choć mały, przedstawia człowieka uduchownionego, daje nam jego ideał i wzbudza w nas cześć dla Stwórcy wszechrzeczy, który takie cudo jako ostateczny wyraz piękna stworzył.

Muzyka salonowa przemawia do nas językiem elegancji, ogłady powierzchownéj dyplomacyi, w końcu przesady.

Jest ona następstwem kierunku wychowania młodzieży, które zasadzało się na blichtrze, a pomijało gruntowną naukę.

W życiu społecznem każdy objaw czy to w sztuce czyli w naukach, literaturze lub przemyśle, jest tylko następstwem ogólnego kierunku, jaki cała ludzkość przyjęła.

Wybitniejszą cechą naszego dzisiejszego społeczeństwa jest chęć użycia, łatwych rozkoszy, uprzyjemnienia sobie życia choćby z uszczerbkiem majątku i zdrowia.

Czyż umysł w ten sposób wykształcony może zasmakować w dziełach myśli?Czy może podążać za myślą mistrza i zajrzeć w głąb jego ducha?

Zdaje mi się że nastąpi na to odpowiedź przecząca, i taki właśnie stan umysłów spowodował, że artyści którzy nie doszli do wyżyn sztuki przez stosowne studja, chcąc być popularnemi, stworzyli łatwy na to sposób, to jest wprowadzili w dziedzinę sztuki muzykę salonową, dopominając się o poczesne tam dla niéj miejsce.

Analiza tych utworów niezbyt jest trudna. Artysta każdy dopatrzy najprzód jałowość myśli, płytkość poglądów na sztukę, naśladownictwo melodji wypły-

wające z braku talentu i z chęci uczynienia utworu łatwym do spamiętania. Nie dziw więc że niemuzykalny amator, słysząc tę wiązkę kommunałów jest w stanie dośpiewać ją w duszy, i dziwiąc się téj łatwości, przypisuje to niesłychanéj melodyjności utworu, nie bacząc na to, że łatwość ta pochodzi tylko z tego, że całe frazy muzyczne, cokolwiek tylko zmienione, przenieść można z jednego do drugiego utworu.

Zwrotów harmonicznych nie szukajmy w muzyce salonowéj.

Zwyczajna aż do krańcowości harmoniczna kadencja służy tu za tło główne. Często nawet utwór posiada dwa tylko akordy t. j. tonikę i dominantę, przy końcu tylko jako nadzwyczajność znajdzie subdominanty i kwartsekstowy. Widnieje w tem smutny brak nauki, i dla tego jeżeli w jakim utworze muzyki salonowéj napotykamy chęć do modulacji, lub choćby rozszerzenia kadencji za pomocą wprowadzenia harmonij obcych, to razić będzie niezręczność przeprowadzenia zwrotów i pominięcie wszelkich zasad estetyki. Utwory te łatwe do grania czy do śpiewu powodują, że uczący się muzyki widząc iż po krótkim czasie mogą się już popisywać, porzucają rzetelną naukę i nie chcą mozolić się nad utworami sztuki wymagającemi pracy, nazywając je nudnemi, suchemi i. t. p.

Wynika więc z tego, że muzyka salonowa niszczy w nas chęć do pracy sumiennéj i wytwarza w ogóle w publiczności skrzywione pojęcia o sztuce, o któréj w dodatku każdy czuje się w obowiązku rozprawiać i dawać swoje krytyczne poglądy, biorąc za podstawę gust swój do błahostek. Czyż może sądzić jaki jest widok z wysokich gór ten, kto tylko po dolinach błądzi?

Po tém określeniu muzyki salonowéj przychodzimy do początku uwag naszych w niniejszym artykule wyrażonych, że w naszém społeczeństwie młodzież kształcąca się na artystów, zbyt wcześnie pragnie zbierać niezasłużone laury. Łatwo więc czytelnik zrozumie, że zestawiając uwagi moje ze sobą, miałem na celu wykazanie, że jest to skutek rozpościerania się muzyki salonowéj.

Przypuśćmy np. że młodzieniec lub panienka nauczy się jakiego romansu włoskiego, który jest już tak zwyczajnym, że niepodobna go źle zaśpiewać, albo raczéj, że zaśpiewany źle lub dobrze, łatwo przez niemuzykalnych zrozumianym zostanie i jednakowe wywoła wrażenie zachwytu. Naturalnym więc następstwem jest pochwała słuchających i jednomyślne przyznanie artyzmu i talentu owym niedorostkom muzykalnym, którzy obałamuceni pochwałą idą daléj w tym kierunku, pomijając studja poważne i kończąc swój zawód jako miernostka, często odgrywająca rolę zapoznanego genjuszu.

Ten sam wypadek zachodzi i z owymi *kompozytorami* którzy poprzestając na pochwałach bliższych znajomych i przyjaciół, i nie ucząc się daléj szkodę tylko sztuce przynoszą.

Proszę jednak nie posądzać mnie o pessymizm i chęć stanowczego potępienia tego wszystkiego, co nie ma styczności z muzyką poważną. Kładę tylko główny nacisk na brak *nauki* i jeszcze raz *nauki*.

Gdyby ją posiadali ludzie z mniejszemi zdolnościami, toby i salonowa muzyka miała wartość artystyczną pod względem formy. Tacy nawet drugorzędni kompozytorowie mają pewną powagę np. w Niemczech, gdzie wykształceni gruntownie są bardzo użytecznemi pracownikami.

Nie mogę też potępiać muzyki tanecznéj gdyż i ona ma swą wartość utylitarną i istnieć musi, choć i w niéj widnieje upadek czego dowodem mogą być dawne walce i polki, które i dziś jeszcze z przyjemnością słuchać można, gdy dzisiejszych jakże krótkie istnienie bywa niekiedy!

Upraszam więc o bezstronne zgłębienie kwestji, którą tu postawiłem i o przyznanie choć cząsteczki prawdy słowom moim a będę miał to wewnętrzne zadowolenie, że może niejeden skorzysta z uwag przezemnie postawionych. Nie mam także pretensji do tego aby uwagi moje były nowe, sądzę tylko że dotknąłem rzeczy bardzo żywotnéj, tem ważniejszéj przy rozwijającem się u nas coraz bardziéj zamiłowaniu do muzyki.

Światła więc więcéj światła! wołam z poetą i dodam cierpliwości w młodych aspirantach do artyzmu! Każdy z nich bezwątpienia ma zadanie do spełnienia, czy to w mniejszym czy w większym stopniu, bo musi być pośrednikiem między utworami sztuki a ogółem. Jeżeli spełni to z godnością zasługuje wtedy na miano artysty, inaczéj zostaje tylko niedouczkiem, partaczem.

Wszystko to com powyżéj powiedział, jest owocem rozmyślań jakie wyrodziły się w umyśle moim z powodu faktu rzadkiego w dziedzinie sztuki krajowéj, to jest z powodu wystąpienia na widownią publiczną kompozytora, który po kilkunastoletniéj pracy przedstawił nam jéj owoce i zajął od razu pierwszorzędne w sztuce stanowisko. Piętnaście lat temu Warszawa powitała w Moniuszce znakomitego liryka. Halka stała się początkiem nowego okresu dla naszéj *opery*. W „Widmach" zaś znaleźliśmy szczyt liryki wyższéj fantazji ludowéj, upostaciowanie tysiąca podań, sięgających zawsze po za byt rzeczywisty. W *pieśni* nikt dotąd wyżéj nad Moniuszkę nie sięgnął. Owe Ballady dochodzą nieraz rozmiarów poematów muzycznych, a piosenki małe uderzyły w tętno swojskiego uczucia. Mistrz też wiedział czy też przeczuwał, że ta swojskość talentu do tych wymienionych rodzajów pasuje i dla tego nie wkraczał w granice muzyki abstrakcyjnéj, że się tak wyrażę t. j. niewiązanéj, niedopełnianéj słowem. Dziś p. Żeleński, jako symfonista sądzę, że spełnił oczekiwania i stanowić będzie nowy okres dla naszéj muzyki instrumentalnéj.

(d. n.)

KILKA SŁÓW O PRZEKŁADACH

Z POWODU ARTYKUŁU

PANA STANISŁAWA NOWIŃSKIEGO

przez

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg).

We własnych dziejach naszych znaleść możemy imiona ludzi wysoko nawet utalentowanych, którzy w różnych kierunkach działając, nic przecież nie zdziałali i żadnego wpływu nie wywarli. Prawdopodobnie stało się tak dla tego, że stanęli oni w poprzek żądaniom i uczuciom swéj społeczności, drobna może jej cząstka dała im poklask, ogół nie zrozumiał ich i nie przyjął. Tak samo działo się i dzieje wszędzie. Wątpić należy aby Piotr Pustelnik zdołał uzbrojone tłumy pociągnąć za sobą ku Jerozolimie, jeśliby ku miejscu temu nie parł ówczesną ludzkość napełniający ją duch religijności i awanturniczości. Wszakże i teraz nie brakuje ludzi, którzyby pragnęli na rzecz innego uświęconego także grodu urządzić krucyatę, a w jakiż sposób na wezwania ich odpowiada ogół? Bakon nie dokonałby zapewne olbrzymiego zwrotu umysłów ludzkich ku przeszłości klassycznej i umiejętnościom ścisłym, gdyby umysły te nie były już same znużone wędrówkami po napowietrznych labiryntach metafizyki i scholastyki, i nie wzdychały do odświeżającego i wzmacniającego źródła płynącego z łona natury. Czy Giotto i Michał Anioł przyodzieliby sztukę innemi formami niż te w jakie oblekała się ona w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, jeśliby w ludzkości samej nie zmieniły się pojęcia o pięknie? Czy Luter sprowadziłby niezmierny religijny przewrót, gdyby takowy nie dokonywał się już w łonie ludu? Dokonaliżby wielkiej rewolucji w pojęciach i stosunkach społecznych Rousseau, Voltaire, Mirabeau, gdyby w umysłach, sercach i woli narodu nie było buntu i rewolucyi? Przykłady takie możnaby mnożyć w nieskończoność, możnaby ich nie mało zaczerpnąć z własnych dziejów naszych, ale...à bon entendenz, salut! Społeczność tedy nie jest dzieckiem ponieważ ma wolę przeciwko której żadna pojedyncza wola nic nie może, ponieważ przyjmuje za przewodników swoich tych tylko, którzy mu tę jego wolę uwyraźniają i środki ku jej spełnieniu wskazują, a nigdy tych, którzy jej w poprzek stają i usiłują wieść ją tam, gdzie ona spełnienia swych pragnień i zadowolenia potrzeb nie widzi. Pojął to lud nasz który mówiąc o ogóle nie powiada: gromada to dziecko, ale wyraża się: gromada to wielki człowiek. Jeżeli tedy objęcie bez względnej dyktatury nad myślami, uczuciami i dążnościami narodu nie jest możebnem dla najgłębszych nawet myślicieli i najdzielniejszych działaczy na polu prac publicznych, w jakiż sposób posiąść by ją mogli skromni pracownicy, których całem zadaniem jest służyć nie jako za pośredników pomiędzy społecznością rodzimą a innemi ludami, wystawić na widok publiczny w kraju własnym to, co w innych krajach zostało pomyślanem i uczułem, zbadanem lub wypróbowanem? Do nich należy tylko sprowadzać do kraju te zagraniczne płody, uczynienie wyboru pomiędzy niemi należy już tylko do narodu i do nikogo więcej. Być może iż wybierając nie jeden omyli się, połknie rzecz niezdrową i zakrztusi się, albo ustroi się w pióra nie przystające do jego figury i wyglądać będzie śmiesznie. Ale czy można i godzi się odbierać ogółowi pokarm i odzież dla tego, aby jeden lub drugi żarłok nie dostał niestrawności od zbytniego najadania się, albo jeden lub drugi fircyk nie naraził się na śmieszność ubraniem się w kurtkę nie dla niego sporządzoną? Z ogółem zresztą stać się tak nigdy nie może, pomiędzy rozlicznemi pokarmami wybierze on zawsze takie, których organizm jego potrzebuje a z rozmaitych podawanych mu szat przyodzieje się tą, która najlepiej przypadnie do miary jego i wzrostu.

Pomówmy nieco o szczegółach rozbieranej kwestyi i przyjrzawszy się już jej ze stanowiska teoretycznego, popatrzmy na nią ze strony praktycznej.

Mówiąc o przekładach dokonywanych z dzieł obcych, o potrzebności takowych lub bezpotrzebności, zbawienności lub szkodliwości, należy mieć na uwadze trzy główne i wielkie działy na jakie, o ile mi się zdaje, rozpada się każde pismiennictwo znajdujące się na pewnym stopniu rozwoju a jakiemi są: 1) umiejętności ścisłe, 2) nauki społeczne do których zaliczają się przeważnie: historya, pedagogija, ekonomija społeczna, moralistyka, i estetyka 3) piśmiennictwo piękne czyli tak zwana beletrystyka.

Belletrystyka! wyraz zaprawdę trudny do skreślenia dla każdego kto popiera potrzebę i użyteczność przekładów. Jest ona w istocie drażliwym punktem kwestji, tym jakby wyraził się francuz *pierre d'echoppement* około którego rozumowania chodzić powinny ostrożnie, aby nie rozbić się na miazgę. Złego to przecież gatunku żelazo które wyszczerbia

się i łamie w zetknięciu z kamieniami, dobry oręż ostrzy się w niem i wyprobowuje. Zacznijmy tedy rozbiór szczegółów zajmującéj nas kwestji od tego probierczego kamienia. Sama nazwa literatury pięknéj daje do zrozumienia, że dzieła będące jéj płodami należą więcéj do dziedziny sztuki jak nauki, zajmują się tedy więcéj przedstawieniem piękna niż odkrywaniem prawdy, a tem ostatniem zajmują się o tyle tylko, o ile piękną jest także prawda. Odkrycia umiejętności ścisłych i twierdzenia nauk społecznych, aby zdobyć prawo obywatelstwa w świecie i panowania nad umysłami ludzkiemi, przejść muszą przez probierz obserwacji i doświadczeń, uledz krytyce opierającéj się zarazem na rozumowaniach i na faktach. Jedynym probierzem wartości dzieła sztuki jest smak, tak zwane podobanie się i niepodobanie. Bynajmniej nie chcę twierdzić, aby *estetyka* nie posiadała pewnych prawideł i nie była nauką wielce poważną, ale, że ma ona do czynienia z tak płochą, kapryśną i niepodległą władzą umysłu ludzkiego jaką jest fantazja, robota jéj przypadła trudniejsza niż innym naukom, a ognisty i samowolny rumak nie daje się dotąd okiełznać poważnéj Amazonce. Co zdaje się przemawiać zatem, że estetyka nie doszła dotąd do żadnych stałych pewników to to, że w obozie jéj panuje najstraszniejsza niezgoda. Sztuka dla sztuki i sztuka celowa, realizm jéj i idealizm, stanowią dotąd nie skruszone kości niezgody. Doszło do tego, że przed nie dawnym czasem jeden z najbystrzejszych i najsławniejszych w świecie estetyków (Taine) po zapisaniu mnogich arkuszy o prawidłach jakiemi hołdownicy i słudzy Muz rządzić się powinni orzekł w końcu: że aby módz stworzyć dzieło piękności, dosyć jest naprzód posiadać talent a następnie umieć fałdy przysiedzieć. Oto i wszystko. Aby więc zabrać się do napisania dramatu, lub romansu, nie trzeba przebywać naukowych kursów ani zarabiać na dyplomy i przywileje; pomysł w głowie i pewna summa czasu poświęcona wykonaniu go, a świat wzbogaci się jednym artystą i jednem dziełem sztuki więcéj. Stoi tam wprawdzie u początku ta klauzula niezbędna, na któréj niezbędność zgadzają się już wszyscy estetycy i nie estetycy, a która opiewa, że jak ptakowi powietrze a rybie woda, tak pisarzowi potrzebnym jest talent. Ba! ale któż sądzić będzie o egzystencji lub nie egzystencji talentu w głowie przyszłego pisarza? Sądzi on o niéj sam i naturalnie przechyla się zawsze na stronę egzystencji, talent bowiem jest tak pięknym i zaszczytnym orderem, którym pani natura obdarza swych wybrańców, że każdy pragnąłby ozdobić nim swe piersi, rozpromienić czoło a nie jeden przez zbytnie natężenie pragnienia popada w złudzenie. Bo i czegóż przeważnie potrzebuje młode pióro aby napisać komedją, drammat a szczególniéj powieść, tę powieść któréj napisanie wydaje się z daleka tak lekką, niczego nie wymagającą a jednak tyle obiecującą pracą? Oto kilka obrazków wymalowanych przez fantazją, jakiéj takiéj zdolności układania frazesów i jakiéj takiéj znajomości języka w jakim się pisze. Ta ostatnia nawet nie jest niezbędną, i widzimy nie mało pisarzy, którzy się bez niéj obchodzą spodziewając się zapewne, że czytelnik zajęty piękną bohaterką nie zwróci uwagi na brzydką grammatykę. Uczuwam tu niepomierną ochotę do dłuższego zastanowienia się nad błędnością i występnością takich mniemań o sztuce, nad szkodami wyrządzanemi piszącym i społeczeństwu przez takie lekkomyślne zabieranie się do obrabiania jednego z działów sztuki najważniejszego bo najbliżéj z życiem związanego. Ochotę tę wszakże poskromić muszę pamiętając na jedno z prawideł obowiązujących każdego piszącego a którem jest, że podróżując z Warszawy do Krakowa nie należy jechać na Kalkuttę. Poprzestać więc muszę na stwierdzeniu faktu, że gdzie panuje wielka dowolność tam zachodzą zwykle nadużycia, i gdzie ludzie sami o uzdolnieniu swem do danéj pracy wyrokują, tam omyłki i to częste nieuniknionemi być muszą. Odrobina posiadanéj fantazji sprawia miraż talentu, na który w rzeczywistości składa się oprócz fantazji mnóstwo władz innych, ale ten kto posiada część, wyobraża sobie, że posiadł całość niebieskiego daru, siada za stołem, temperuje pióro i pisze—bez talentu. Ztąd w bellestrystyce płody mdłe, słabe, pozbawione szlachetności treści i piękności formy. A jednak jest to jedna dopiero i mniéj brzydka strona medalu, na drugiéj należy wyryć imiona takich pisarzy, którzy obdarzeni talentem silnym, częstokroć i bogatym, charakter mają ubogi, często niski. Są to talenta sprzedajne i leniwe, które śród dowolności panującéj w dziedzinie belletrystyki, usiłują zdobywać sobie jak największą summę osobistych pożytków, w zamian jak najmniejszéj dozy położonych trudów. Takie talenta sprzedają się w niewolnictwo złym namiętnościom i różnorakim ujemnym skłonnościom społeczeństwa, którym schlebiają i służą za bodźca i igraszkę. A każdy prawie naród miewa od czasu do czasu czarne chwile, w których łacniej podoba sobie w tem co go utrwala w lenistwie i głaszcze złe jego namiętności, niż w tem co go popycha na drogi nowe i skłania do odnajdywania i wyprowadzania na jawnią, spoczywającego we własnej jego głębi ideału. Co więcej każdy naród posiada zawsze w samym sobie mniej lub więcej liczne warstwy ludności próżniaczej duchem i ciałem, które rade są za pomocą podawanych im igraszek zabijać czas który im cięży, zamykać oczy i uszy na widoki najbliżéj choćby je otaczające i na głosy przemawiające choćby we własnych ich wnętrzach, a nakazujące im czynić to czego oni przez niedołęztwo lub samolubstwo czynić nie chcą. W takich to chwilach i dla takich to warstw piszą talenta sprzedajne i leniwe, i ztąd pochodzą wszystkie te sztuczne mamidła, olbrzymie bajki, cuchnące fajerwerki zbrukanéj fantazji, które w dziedzinie literatury nadobnéj są tem, czem byłaby w pięknym pałacu kupa śmieci przysypana z lekka strzępiami szychu. Ztąd a nie zkądinąd powstała we Francji literatura tak zwana *echevelée*, istna bachantka ze skamieniałem sercem a pijaną głową, taki a nie inny jest rodowód Feval'ów, Gaboriau'ów, Skribów, Montepin'ów, i całéj zresztą nieprzeliczonéj falangi pisarzy tego rodzaju.

Utwory ich to tysiące i jedna nocy oświeconego Zachodu XIX wieku. W Niemczech, mianowicie w ostatnich czasach nie mało powstało podobnych twórców i podobnych tworów. Nie ma w nich żadnéj ogłoszonéj prawdy ani odkrytego piękna, są to puste i występne igraszki, zdobywające sobie popularność pomiędzy głowami pustemi lub w występnych myślach i obrazach lubującemi się. Płodów tych ckliwych lub jadowitych nie tylko nie chciałabym widzieć przełożonych na rodzinną moją mowę, ale pragnęłabym aby nieistniały w żadnéj mowie świata i jestem najmocniéj przekonaną, że tak jak nikt dzieł podobnych nie tworzy z sumiennem przekonaniem o dodatniéj wartości swego tworu, tak też nikt ich nie tłomaczy z dobrą wiarą w ich wartość i uczciwą chęcią przysłużenia się swemu społeczeństwu.

Pisarz i tłomacz spekulują tu jednostajnie na ludzką słabość i ciekawość, a zły smak lub omylenie się w sądzie nie może być dla tłomacza wymówką, boć aby poczuć moralną i estetyczną nędzę takich utworów, nie trzeba być filozofem ani estetykiem, ale dosyć jest posiadać w sercu iskrę poczciwego uczucia, a w głowie szczyptę zdrowego rozsądku. O popieraniu podobnych przekładów, mowy być nie może, bo za ich pośrednictwem ludy dopomagają sobie nie do zbliżania się ku ideałowi szczęścia i prawdy, ale ku oddaleniu się odeń.

To sobie powiedziawszy nie należy przeto przez zbytek ostrożności lub niesprawiedliwe uprzedzenie, pomijać ryczałtowo całą belletrystykę zagraniczną.

Nikomu bowiem nie jest tajno, ile w niéj zawiera się wielkiéj mądrości i prawdziwego piękna. Jak powiedziałam wyżéj i jak jestem najmocniéj przekonaną, nędznych i występnych tworów nie wybiera nikt dla przekładu w dobréj wierze i z zamiłowania.

(d. c. n.)

Różne wiadomości.

— *Towarzystwo szerzenia oświaty między żydami w Rosji.*—Z powodu ogłoszonego sprawozdania towarzystwa za rok 1871, odczytanego na ogólnem zgromadzeniu członków 26 marca 1872 r., dziennik *Syn Otieczestwa* pisze: „Komitet uznał, że język hebrajski najlepszym jest przewodnikiem ukształcenia żydów i że za pomocą tego języka można tylko osiągnąć celu szerzenia oświaty między żydami i wyznaczył premjum 500 rubli za najlepsze dzieło o tém: czy należy lub nie należy używać starożytno hebrajskiego języka (t. j. dzieła naukowe w starożytnym języku hebrajskim) za narzędzie szerzenia oświaty między żydami w Rosji. Program pomienionego dzieła ułożony został przez pp. Harkawi, Lewina i Chwolsona. W zakreślonym terminie nadesłano dwa dzieła, z których jedno z powodu niezastosowania się do programu, zostało uchylone, a drugie jest rozbierane. W tymże roku sprawozdawczym złożony był komitetowi „Zbiór nauk religijno-moralnych rozsianych w literaturze hebrajskiéj" ułożony w języku ruskim przez pp. Kacelenbogena i Fina, którego dwa poszyty nadesłane były jeszcze w roku 1869.

Zbiór ten składa się z pięciu obszernych działów, mianowicie: I. „O Bogu i Jego własnościach" obejmujący w sobie 10 rozdziałów; II. „O obowiązkach człowieka ku Bogu"—17 rozdziałów; III. „O obowiązkach człowieka ku samemu sobie"—20 rozdziałów, IV. „O obowiązkach człowieka jako członka społeczeństwa" — 10 rozdziałów i V. „O obowiązkach człowieka ku bliźniemu"—34 rozdziały. Do tego ostatniego dodane są jeszcze dwa rozdziały—„O stosunku człowieka do zwierząt i do całej przyrody." Za to dzieło komitet wyznaczył honorarjum 1,200 rub. i polecił autorom przełożyć je na język hebrajski. W końcu sprawozdanie wzmiankuje o wsparciach jakie komitet udzielił uczącym się w szkołach i wyższych zakładach naukowych, i o ofiarach na rzecz towarzystwa."

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066*k*. Дозволено Цензурою Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód N. 23 r. 1872.

ALBINA.

STUDJUM POWIEŚCIOWE,

Z NOTATEK AUTORA

UŁOŻYŁ

JAN ZACHARJASIEWICZ.

(Dalszy ciąg.)

Za chwilę przyszła mi znowu inna myśl do głowy.

— Czyżby nie lepiéj było zaczekać, aż do Jedlnéj przyjedzie, i tu, w miejscu wspomnień dziecinnych odnowić te piękne, pogodne dnie najpierwszéj młodości?..

— Nie, szeptała mi refleksia, kobiety nie lubią iść do ostatecznych granic. Gdy się zatrzymują w drodze ku nam, to trzeba do nich podejść, inaczéj urazi się ich miłość własna!...

Znowu z innéj strony szeptało mi coś do ucha:

— A gdyby pan Manswet czy pani szambelanowa tak samo sobie postąpili, jak to było ongi, gdym całą godzinę na ganku w milczeniu przesiedział?

Na to odpowiadałem sobie:

— Właśnie w stolicy jest najwięcéj sposobów zbliżenia się do upragnionnéj osoby, są pewne formy życia, z których każdy korzystać może, nie ubliżając nikomu i nie dając sobie w niczem ubliżać.

Na téj odpowiedzi stanąłem, przygotowania do podróży szybko poczyniłem i nim tydzień upłynął byłem już w stolicy i przechadzałem się po chodnikach Krakowskiego-Przedmieścia.

XVII.

....Stolica, pisał daléj autor „wizerunku"—przedstawiała teraz dla mnie wcale nowy widok.

Dawniéj znałem ją dobrze. Znałem każdy dom, każdą ulicę, znałem niektóre salony i ogródki z bawarem, znałem życie na ulicach i po cukierniach, słowem znałem, stolicę prawie na wskróś, a jednak teraz okazała mi zupełnie nowy swój profil, jakiego dotąd nie widziałem.

Pobyt mój kilkoletni za granicą mógł wprawdzie wpływać na to, żem dzisiaj w odmiennéj szacie widział dawną moją znajomę, ale takie tłomaczenie nie wystarczało bynajmniéj.

Głównym powodem téj zmiany widoku była własna moja dzisiejsza sytuacja.

Dawniéj byłem obojętnym mieszkańcem miasta, marzenia moje sięgały daleko po za Wisłę aż gdzieś nad Newę. Dzisiaj cel moich marzeń mieścił się w saméj Warszawie, a ja miałem się zbliżyć do niego.

Ta sytuacja nadała mi w oczach moich znajomych zupełnie inny charakter.

Obskoczyli mnie zaraz na wstępie do miasta, wyściskali i wycałowali, niektórzy na prędce pożyczyli „na kilka dni" po kilkadziesiąt złotych odemnie—słowem witano mnie szczerze i serdecznie, tak jak się wita najlepszego, starego znajomego!..

Dawniéj byłem studentem, dzisiaj dojrzałym człowiekiem, mieszkałem na wsi i przyjechałem do stolicy.

— Po cóż więc mogłeś przyjechać, wołano do mnie ze wszystkich stron, jeżeli nie po to, aby się ożenić?

Na pierwsze takie zagadnienia rumieniłem się i wypierałem aż do słowa honoru, że mój przyjazd do miasta nie ma wcale takiego celu. Potem tłomaczyłem się nieco obszerniéj, że różne plany przyszłości przywiodły mnie wprawdzie do stolicy, ale te nie stoją bynajmniéj w związku z żenieniem się.

Śmiano się ze mnie, nazywano mnie z ironią idealistą i ukrytym marzycielem, i wmawiano we mnie, że tylko plany matrymonialne zaprowadziły mnie na bruk Krakowskiego-Przedmieścia!

— Nie wstydź się! wołano do mnie w cukierniach i na koncertach, nie wstydź się takiéj myśli chwalebnéj, która prowadzi do pięknéj żonki z nieszpetnym posagiem .. albo do szpetnéj żonki z pięknym posagiem!...

Podobne niemiłe dotknięcia najskrytszych moich marzeń sprawiały mi wielką boleść.

Rzucałem się na podobne słowa jak wąż nadeptany, ale to było tylko powodem, że tem mocniéj nacierano na mnie, tem daléj sięgano w żartach i z rzeczy idealnych z bezwstydnym cynizmem zdzierano w moich oczach świętą szatę....

Powoli przyzwyczaiłem się do tego tonu realnéj mowy moich znajomych i wszedłem niejako tym sposobem w poczet tych wszystkich, którzy „ożenić" się chcieli!

Tutaj obaczyłem ten świat zupełnie dla mnie nowy, który mnie teraz w stolicy uderzył.

Był to zastęp młodych ludzi, do mnie wiekiem zbliżonych, ale usposobieniem i kierunkiem życia bardzo daleko odemnie stojących.

U tych ludzi nie spostrzegłem ani jednego okrucha idealizmu, który przecież jest kwiatem młodości!

Wszystko tam było wyrachowane jakby życie ludzkie nie było niczem innem, jak tylko algebrą lub geometrją wykreślną.

Kobieta była u nich czwartą nieznajomą liczbą w regule trzech, którą znajduje się mnożąc dwie liczby znane i dzieląc iloczyn przez trzecią.

— Panna X. może mieć tyle a tyle posagu! szeptał jeden drugiemu do ucha—możesz się starać....

— Miéj się na baczności! wołał drugi z przeciwnego kąta cukierni, tam posag jest iluzją!

Mnóstwo dróg i dróżek otworzono przedemną, które mnie przekonały, że jestem w bardzo złem towarzystwie, chociaż niektórzy z niego należeli według oceny towarzyskiéj, do ludzi bardzo "porządnych".

Zrazu zasmuciło mnie to spostrzeżenie, ale po dłuższéj rozwadze uczułem otuchę, że przecież choć pod jednym względem jestem trochę lepszym.

To dodało mi odwagi zbliżyć się do ukrytego celu moich marzeń.

Pan Manswet wraz z swoją siostrą szambelanową mieszkał na Nowym-Świecie. Zajmował całe pierwsze piętro dosyć dużego domu.

Znajomi moi mówili mi, że zjechał z zagranicy umyślnie tutaj na zimę, aby z pomocą szambelanowéj Mirandę za mąż wydać.

W tym celu umeblował bardzo bogato pyszne swoje salony, i dwa razy w tydzień przyjmował u siebie szersze koło znajomych.

Daléj opowiadano mi, że Miranda bardzo ładnie wygląda, że pięknie śpiewa i tańczy, że całemi godzinami umie prowadzić rozmowę. Prócz tego ma znaczny posag i jeszcze znaczniejszy zastęp amatorów tego posagu, który różnym sposobem przypuszczają szturm do niego. Trzech miało już zaciągnąć u żydków znaczne długi na konto tego posagu, i za te pożyczone pieniądze starają się teraz wystawnem życiem o jéj rękę. Każdy z nich ma mieć szanse podobania się, bo żaden nie mówi nigdy inaczéj jak tylko po francuzku, każdy ubiera się we frak paryzki i takież nosi rękawiczki.

Mówiono mi także, że Miranda zazwyczaj chodzi do teatru na włoską operę, a wtedy siedzi w ósméj loży po prawéj stronie — w niedzielę chodzi do Wizytek i siedzi na ponsowem krześle przy samym wielkim ołtarzu.

Pozbierawszy te wiadomości poszedłem najprzód do teatru na włoską operę. i wziąłem sobie bilet do krzesła po lewéj stronie.

Dzisiaj, gdy to piszę, nie pamiętam jaką sztukę wtedy dawano. Zdaje mi się, że i wtedy nie wiedziałem, chociaż byłem obecnym....

Połowę pierwszego aktu przeczekałem w febrycznem usposobieniu. Loża nr. 8 była ciągle próżna.

Wreszcie przy końcu aktu zrobił się tam szelest...

Zaparłem oddech i spojrzałem...

Weszła stara, brzydka... szambelanowa—za nią—Miranda!

Spuściłem oczy jakby przed bóstwem!

Czyż nie była ona dla mnie dotąd bóstwem mojem?..

Po chwili spojrzałem po raz drugi...

Czułem przenikającą wibrację serca jakby wibrację struny metalowéj....

Miranda wyglądała cudownie!

Była to w pełni rozwinięta kobieta. Ciemne włosy otaczały bujnie jéj białe jak marmur czoło, para podłużnych oczów ocienionych długą rzęsą patrzało z łagodnym uśmiechem na scenę, a różowe usta składały się w wyraz zachwycenia!...

Słomianego koloru suknia odkrywała zalotnie okrągłe ramiona, a blada thea zwiesiła się melancholijnie po nad uchem....

Był to jeden z najpiękniejszych obrazków jakie kiedykolwiek w życiu widziałem!

Ciemne ramy loży odcinały ten obraz od reszty spektatorów i tworzyły niejako ognisko, w którem koncentrowało się wiele spojrzeń!...

Stanu mojéj duszy nie będę tutaj opisywał....

Skończył się akt pierwszy, w teatrze powstał ruch...

Oparłem się o ścianę i zwróciłem binokle do loży...

Miranda patrzała na dół, jéj oczy przesuwały się zwolna po całym parterze....

Szkła drżały mi w ręku, gdy jéj wzrok zbliżał się do mnie.. .

Oczy jéj przeszły po mnie i—poszły daléj!

Nie spostrzegłem w tych oczach żadnego żywszego światła, żadnego zmrużenia...

Były one zawsze jednostajne. Wyglądały jak

najpiękniejsza emalia i świeciły zawsze jednym i tym samym słabo przyćmionym blaskiem....

Serce moje zatrwożyło się!

— Ale cóż? pomyślałem sobie, zkądże ona może wiedzieć, że tutaj jestem? Tyle ludzi stoi koło mnie prawie jednako ubranych? A zresztą, wszak tyle lat jak mnie nie widziała! Lata tak zazwyczaj zmieniają człowieka!

— A przeczucie od czego? szepnął mi znowu ciszéj głos do ucha—wszak kobiety celują właśnie w podobnych przeczuciach!...

Tymczasem rozpoczął się akt drugi, a ja nie chcąc na siebie zwracać uwagi stojących przy mnie, musiałem zająć mój numer i oczy zwrócić na scenę.

Skończył się akt drugi i trzeci... i sztuka wreszcie skończyła się, a ja w loży nr. 8 nic więcéj nadto co już widziałem po pierwszym akcie nie zobaczyłem.

Tylko między drugim a trzecim aktem widziałem tam wchodzących kilku młodych ludzi, którzy czas niejaki z szambelanową i Mirandą rozmawiali.

Szambelanowa rozmawiała z bardzo żywemi giestami, które więcéj obliczone były na patrzącą publiczność, Miranda rozmawiała spokojnie, z pewną nawet apatją, a czasem widocznie śród rozmowy zamyślała się.... poczem wysyłała wzrok do loży z przeciwnéj strony, któréj z mego stanowiska widzieć nie mogłem.

Wyszedłem jeden z pierwszych z teatru, aby na korytarzu lub na schodach choć zdala ją spotkać— ale i tam nic mi się nie udało! Fala wyszłych za mną spektatorów porwała mnie, odrzuciła w inną stronę tak, że się dobrze zorjentować nie mogłem....

Smutny odszedłem do hotelu.

Nazajutrz była niedziela.

Wydobyłem z kuferka ową miniaturową książeczkę do modlenia, którą przed laty przyniósł mi posługacz hotelowy „od młodéj, odjeżdżającéj do Petersburga panienki", i udałem się do kościoła Wizytek.

Wszedłszy do kościoła wmówiłem w siebie, że nie przyszedłem tutaj w żadnych zamiarach światowych.... i zatrzymałem się przy progu, nie szukając ani pąsowego fotelu przed wielkim ołtarzem, ani czarnego aksamitnego kapelusika ze strusiemi piórkami, o którym nagadali mi tyle moi znajomi!...

Stałem koło progu i modliłem się—resztę zdałem przypadkowi.

I przypadek nie był dla mnie przyjaźniejszy od teatru!

Po mszy zaczęli ludzie wychodzić.

Różnobarwne zarzutki i kapelusiki przesuwały się przedemną i budziły mnie z zamyślenia....

Wreszcie nadciągnął czarny paletocik aksamitny z brukselskiemi koronkami...kapelusik z takiéj saméj materji z piórami strusiemi...

Miranda szła z szambelanową...

Prawie tuż przy mnie umaczała palce w święconéj wodzie.... podniosła oczy na mnie... przesunęła się obojętnie... i znikła w tłumie!

Wyszedłem za kilka chwil także z kościoła... i ujrzałem Mirandę, jak stojąc przed otwartą karetą rozmawiała z jakimś młodym elegantem, który zdawał się czekać tam na nią...

Po kilkunastu słowach francuzkich uśmiechnęła się wdzięcznie do niego, spojrzała po otaczającéj ją publiczności i podała mu rękę.

Szambelanowa czekała już na nią w karecie,.

Spojrzenie jéj ostatnie, rzucone na publiczność, w części i mnie się dostało—ale i tym razem było obojętne i zimne!

Zdaje się, że modlitwa moja w kościele nie była ze wszystkiem szczerą i dla tego Bóg jéj nie wysłuchał!..

Smutny, z bólem w sercu odszedłem..

Najkrótsza do Mirandy droga była, pójść do pana Mansweta i zrobić mu wizytę.

Téj drogi jednak wybrać nie chciałem. A miałem do tego ważne powody.

Obawiałem się, aby pan Manswet nie przyjął mnie w ten sposób, jak ongi, kiedy to całą godzinę na ganku w milczeniu siedziałem podczas gdy on gazetę czytał.

Takie przyjęcie mogłoby mi na zawsze drogę do jego domu zagrodzić.

Wprawdzie była teraz między tamtą a dzisiejszą wizytą znaczna różnica—wtedy byłem chłopcem dzisiaj prawie dojrzałym człowiekiem, którego formy i reguły światowe chronią od podobnego ubliżenia.

Mimo to wszystko jednak sądziłem, że lepiéj będzie, jeśli pan Manswet spotka mnie wprzódy gdzieś w innym domu, którego stanowisko w stolicy nie będzie niższem od jego salonów.

Była w tem może mała próżność, ale próżności téj w obec bardzo próżnego człowieka potrzebowałem teraz bardzo!

Byłem bowiem pewny, że podobni do pana Mansweta ludzie patrzą pod tym względem na innych, których sobie za model swego postępowania biorą.

Pan Manswet nie był to jak to mówią „pan z panów" ale pnący się dopiero do panów, i jako taki lękał się bardzo pozycję swoją skompromitować zażyłością z ludźmi na niższym od niego szczeblu siedzącymi.

Dobra właśnie w tym względzie wydarzyła mi się sposobność. Stary jenerał hr. X*** spotkał mnie na ulicy, zapytał o nieboszczyka pułkownika a potem zaprosił mnie, aby do niego przychodzić każdego czwartku.

Dom starego jenerała był otoczony wielką czcią i szacunkiem. Ludzie znakomici światłem, talentem i nauką, urodzeni z mitry i miecza i ci którzy prac ą własną na polu przemysłu i handlu dobili się większego w towarzystwie znaczenia, wszystko to zgromadzało się w salonach jenerała.

Pani jenerałowa była ujmująca dobrocią swoją staruszka i lubiła wkoło siebie gromadzić cały znajomy świat kobiecy, który podówczas był w stolicy.

Wiedziałem, że pan Manswet u jenerała w każdy czwartek bywa z szambelanową i Mirandą.

Tam więc po raz pierwszy miałem się z nimi spotkać.

Byłem pewny, że pan Manswet zupełnie inaczéj przywita się ze mną, gdy mnie tam w towarzystwie tak wyborowem ujrzy, niżeliby to uczynił gdybym wprost do niego zadzwonił.

Dla takiego człowieka jakim był pan Manswet, mogłem użyć téj niewinnéj taktyki.

I właśnie był to czwartek gdy w południowéj godzinie przypadkiem przechodziłem przez senatorską ulicę.

Przed jednym magazynem bławatnym ujrzałem angielską karetę i rosłe kasztany, które mi znane były z pod kościoła Wizytek...

Zatrzymałem się na chwilę....

Z magazynu wyszła najprzód szambelanowa i prosto dążyła do karety nie oglądając się na nikogo. Za nią pojawiła się Miranda.

Przechodząc spojrzała na mnie.. potem odwróciła się i jeszcze raz z pewną ciekawością w oczach spojrzała...

Zagrały we mnie wszystkie fibry...

Chciałem zbliżyć się i coś jéj powiedzieć, chciałem... sam nie wiedziałem co chciałem. . i skończyło się na dosyć niezgrabnym ukłonie kapeluszem.

Miranda zarumieniła się lekko i szybko skoczyła do karety, która w téj chwili ruszyła z miejsca..

Odetchnąłem pełną piersią... żebrakowi który mi zaszedł drogę rzuciłem rubla.. a sam pospieszyłem do domu aby w samotności tym jedynym promieniem mego szczęścia się nacieszyć i przeczekać aż do wieczora, w którym miałem prawdopodobnie ją znowu obaczyć!

Nadszedł wieczór— gości u jenerała było wiele — przybył pan Manswet, ale Mirandy nie było!

— Gdzieżeś pan zostawił Mirandę? zapytała z wyrzutem pani jenerałowa.

— Jest trochę cierpiącą, odpowiedział pan Manswet, wyjeżdżała dzisiaj po sprawunkach i przeziębiła się!..

— Przypominam się pamięci pana — rzekłem teraz do pana Mansweta.

— Nie... nie mogę sobie przypomnieć... w żaden sposób nie mogę... czy w Wiedniu, w Berlinie, w Paryżu?...

— W Jedlnéj! Czesław***

I wymówiłem moje nazwisko.

— Ah! przeciągle odparł pan Manswet i podał mi dwa palce—jak pan wyrosłeś i odmieniłeś się! Zrobił się z pana przystojny mężczyzna! Proszę ktoby się był spodziewał! Tak małym chłopcem byłeś!

— To zwykły bieg natury—dzieci rosną i dojrzewają!..

— Prawda, prawda...., przyjdźże pan do mnie.... mieszkam na Nowym świecie—Miranda ucieszy się.

Zaraz na drugi dzień pospieszyłem z wizytą do pana Mansweta.

Serce biło mi gwałtownie gdym pociągnął za dzwonek.

W sutéj liberji lokaj otworzył mi drzwi.

— Czy przyjmuje pan Manswet X*** zapytałem.

— Nie wiem czy jaśnie hrabia przyjmuje, z naciskiem odpowiedział lokaj—proszę o kartę!

Dałem mu kartę.

Po chwili zjawił się lokaj a zamknąwszy starannie drzwi okazałe za sobą, otworzył dla mnie małe, prawie ciasne drzwiczki tapetowe i dał znak ręką abym wszedł nie wymówiwszy żadnego słowa ani tytułu.

Za tymi drzwiczkami był mały ciemny korytarzyk. Uderzyłem się kilka razy o jakieś stojące tam paki, i zdążyłem wreszcie do drzwi dosyć niepokaźnie wyglądających.

Drzwi te zaprowadziły mnie do pokoju, jak można było wnosić, służącego. Były tam bowiem porozrzucane różne rzeczy do czyszczenia, między któremi poznałem wczorajszy czarny frak pana Mansweta z wstążeczkę czerwoną w dziurce od guzika.

Zmiatający w sąsiednim pokoju prochy pokojowe usłyszał moje kroki, odchylił drzwi i zaprosił mnie.

Był to jak widać prywatny gabinecik pana Mansweta.

Pokojowiec wezwał mnie abym tutaj zaczekał, począł daléj zmiatać prochy, trzepać meble i ścierać stoły dużą ścierką, z któréj potem wytrzepywał prochy w dosyć ciasną przestrzeń między moim nosem a dużym konterfektem, który prawdopodobnie przedstawiał kogoś z antenatów gospodarza.

Czekałem dobrą godzinę, za nim zjawił się pan Manswet.

Miał on na sobie długi szlafrok z jedwabnej materji, złotem haftowane pantofle i aksamitną czapeczkę na głowie.

— Jakże się masz panie Czesławie, rzekł do mnie podając mi dwa palce, przepraszam cię żeś na mnie tak długo czekał ale miałem interesa... Siadaj!

Usiadłem rozpoczęła się rozmowa.

Mówiliśmy o nieboszczyku pułkowniku, wspomnieliśmy mimochodem o nieboszczyku ojcu, o pozostawionym w złym stanie mająteczku. Pan Manswet wypytywał mnie gdziem był zagranicą, utyskiwał na niepraktyczność ojca, który niestosownie do swego majątku mnie utrzymywał, i zakończył pochwałą starego pułkownika który wzorowo grał wista.

O Mirandzie która się „cieszyć“ miała z widzenia mnie, nie wspomniano ani słówkiem.

Kiedy już wizytę moją za skończoną uważałem i w tym celu do pożegnania się zabierałem rzekł do mnie pan Manswet.

— Odchodzisz pan... czy długo zabawisz w Warszawie?... Szkoda wielka szkoda. Mógłbym pana zaprosić na wieczorek do siebie — co Sobota i Wtorek zbierają się u mnie znajomi.. szkoda, że to towarzystwo jest dla ciebie zupełnie obce. Człowiek nie w swojéj sferze wygląda jak Piłat w Credo!..

— U jenerała poznałem kilka osób znakomitych..

— Znakomitość znakomitości nierówna mój panie Czesławie! U mnie nie obaczysz tych co na skrzypcach grają lub częstokroć papier niepotrzebnie zapisują! Ale za to obaczysz ludzi pięknego rodu i ozdobionych krzyżami zasługi na różnych polach dzisiejszéj działalności!

— Dzisiejszéj działalności? powtórzyłem w braku innego konceptu.

— A to dla ciebie będzie terra— incognita!

— Znam pana X—pana Y—pana Z....

— Znasz ich? z zadziwieniem zapytał pan Manswet.

— Byłem nawet przedwczoraj u pana X. na herbacie a jutro jestem do pana Z. zaproszonym na obiad!

Pan Manswet patrzał na mnie z uwagą.

— Jakimże sposobem przyszedłeś do téj znajomości? zapytał po chwili namysłu.

— Jeszcze dawniéj miałem od pułkownika do nich listy polecające.

Pan Manswet przeszedł się kilka razy po pokoju.

Po niejakim czasie zatrzymał się i rzekł do mnie:

— Ha, jak chcesz, możesz przyjść, jeżeli to pana nie żenuje. Wszyscy goście zazwyczaj zbierają się u mnie w białych chustkach.

Rzekłszy to podał mi dwa palce i już tym razem nie szedłem przez mały korytarzyk, ale przez główne paradne drzwi przy których galonowany lokaj ukłonił mi się daleko niżéj, niżeli wprzódy to uczynił.

Śmiałbym się do syta z pierwszéj mojéj wizyty u półpanka naszego, gdyby do téj wizyty nie wiązała się zawiedziona nadzieja.

Wizyta u pana Manswela wypadła jeszcze podług mego zdania nienajgorzéj. Spodziewałem się czegoś gorszego. Znany jest bowiem powszechnie sposób naszych półpanków traktowania ludzi. Wyszli z niczego najczęściéj z podrobioną przez heraldyka przeszłością, czując chwiejny grunt pod nogami w obec tak zwanéj dziejowéj arystokracji, są nadzwyczaj lękliwi w doborze towarzystwa dla swego domu, aby wypaczonym swoim wyobrażeniom o arystokracji nie uchybić. Znane do syta są te karykatury w naszem społeczeństwie, z których najwięcéj natrząsają się ci, do których one tak gwałtownie się pchają.

Podobnym poniekąd do tych ludzi był pan Manswet. Dla tego z obojętnością przyjąłem rzeczy, o które miałem obawę że wypadną gorzéj.

Pana Manswela nie brałem nigdy w rachunek moich marzeń, a jeśli mimo to kiedy tam się zabłąkał, to tylko na to aby był „advocatus diaboli“!

Wyobrażałem sobie że Miranda nie jest bezduszną własnością ojca, nie jest automatem który pozuje jak mu każą, ale jest kobietą, która szczęścia swego dla wypaczonych wyobrażeń pana Mansweta nie zechce poświęcić, chociaż ten pan Manswet jest jéj ojcem!

W takich nadziejach żyłem, bo inaczéj być nie mogło. Już przez samo wychowanie stałem się idealistą, widziałem tylko wszędzie prawo a nie wiedziałem jak dalece każdy fenomen w życiu rzeczywistem różni się od swego prawa.

Uspokoiwszy się po téj wizycie u pana Mansweta, uspokoiłem się również i co do zawiedzionéj nadziei mojéj, która mi nie wiem jakim sposobem, widok Mirandy obiecywała.

Przy bliższéj rozwadze przekonałem się, że nadzieja moja nie była ugruntowaną. Miranda prawdopodobnie o tym czasie nie była jeszcze ubraną a nawet sprzeciwiało by się to zwyczajowi większych domów, aby córka brała udział przy wizytach ojca.

Wytłomaczyłem więc Mirandę przed samym sobą, a nawet widziałem w jéj nieobecności pewne dobre wyrachowanie próżności kobiecéj. Miranda prawdopodobnie chciała dopiero w oświetleniu wieczornem przywitać się ze mną! Nie miałem jéj tego bynajmniéj za złe, bo któraż kobieta kochająca nie chce być jak najpiękniejszą dla tego którego kocha?..

Uspokoiłem się z wszystkich dręczących mar i z nietajoną roskoszą czekałem jutrzejszego wieczora.

Przystępuję do opisu jednego z najważniejszych okresów mego życia jakto sobie wtedy wyobrażałem.

Miałem po tylu latach i marzeniach widzieć Mirandę.

Czyż to nie była dla mnie chwila rozstrzygająca? Czyż od jéj spojrzenia, od jednego słowa, od giestu wymownego nie zawisła teraz cała moja przyszłość?

Wprawdzie dreszcz mnie przebiegał, gdym przed zwierciadłem zawiązywał żądaną białą chustkę a przy niéj o panu Manswecie myślał.., ręce moje drżały i oddech zapierał się w piersi gdym sobie wyobrażał, że w najlepszym nawet razie przyjdzie mi z tym przewrotnym człowiekiem stoczyć straszny bój, bój tak wielkich rozmiarów który może doniosłością swoją przewyższał wszystkie boje Homera!

I obawa tego boju była tak przykra i przybijająca, że tylko rozkoszne marzenie o Mirandzie mogło ją zrównoważyć i przynajmniéj tyle sił mi pozostawić ile potrzeba było, aby z hotelu zajść na Nowy-Świat, tam na pierwszem piętrze za dzwonek pociągnąć, potem rozebrać się i—wejść do salonu.

W salonie zastałem już licznie zebrane towarzystwo.

Przebiłem się przez pierwszy zastęp stojący nie daleko drzwi i śledziłem najprzód okiem za panem Manswetem i Mirandą.

Zdawało mi się, że przyjście moje sprawiło w salonie pewne wrażenie. Nie pochlebiam sobie, aby to wrażenie odnosiło się do jakich zalet mojéj powierzchowności. Była to prosta ciekawość, kto jest ten człowiek, którego prawdopodobnie nikt nie znał z gości tutejszych.

Pana Mansweta spostrzegłem rozmawiającego z jakimś otyłym jegomością nie daleko pieca. Widocznie widział mnie wchodzącego, mimo to, nie obrócił się do mnie, aby się przywitać. Zbliżyłem się do niego. „Wysunął do mnie dwa palce, nie zwróciwszy głowy i daléj rozmawiał z otyłym jegomością.

W téj chwili, kiedy wszyscy na moją nieznaną osobę uwagę zwrócili, zrobił się szmer i szelest między damami, z pośród których z uśmiechem czarującym, z rączką naprzód wyciągniętą wysunęła się Miranda i krokiem sylfidowym cały salon wzdłuż przeszła aż do mnie.

Wszyscy patrzyli na nią z nietajoną ciekawością, a zdziwienie całego zgromadzenia doszło do najwyższego stopnia, gdy Miranda przedemną się zatrzymała, rękę mi podała, a zatrzymując moją w uścisku, poprowadziła mnie za sobą przez cały salon aż do framugi okna, gdzie stały dwa fotele.

Usiadłszy na jednym wskazała ręką na drugi..

— Nie wyobrazisz pan sobie, rzekła do mnie, patrząc prosto w oczy, jaką mi radość sprawiłeś. Gdy mi przedwczoraj ojciec powiedział, że pana widział u jenerała, nie mogłam całą noc zasnąć, myśląc o panu. Mój Boże! Tyle lat od tego czasu między nami!

Nie wiedziałem sam, co się w téj chwili ze mną działo. Czułem tylko spojrzenia wszystkich oczu na sobie, czułem, że te spojrzenia wskroś mnie przenikały.

— Zdaje mi się, że we czwartek spotkałem panią, nieśmiało ozwałem się, bo lękałem się, że mi w téj chwili serce pęknie!

— A tak! przypominam sobie, że pana widziałam! Dziwna rzecz, nie poznałam pana, a jednak zdawało mi się, że ktoś dobrze znajomy!

Tu wysunęła znowu drobną rączkę i uścisnęła mnie serdecznie.

Patrzał na to cały salon, od pieca aż do kanapy.

— Ach mój Boże! Tyle rzeczy masz mi pan do opowiedzenia.. ale musisz kiedyś przyjść do nas w dzień zwyczajny! Nie prawda, że pan to uczynisz?

Znowu wysunęła się drobna rączka z pod brukselskich koronek i znowu nastąpił gorący uścisk.

Długi czas jeszcze rozmawialiśmy z sobą. Dotknęła w kilku słowach naszych wspomnień dziecinnych, mówiła o Petersburgu, Paryżu i Wiedniu, o pułkowniku i jego kordjale długiego żywota, słowem, przesunęła się z lekka jak biała chmurka po całem niebie naszych pięknych wspomnień.

— *Mais ma chere*, ozwała się szambelanowa, która w téj chwili zbliżyła się do nas, zaniedbujesz innych gości!

Rzekłszy to przesunęła się jak chmura gradowa koło nas, nieczekając nawet końca propozycji Mirandy, która mnie jéj przedstawić chciała.

Miranda wstała z fotela i pobiegła za nią.

Patrzałem z uwagą za nią.

Miranda miała krok tak lekki, tak baletnicze robiła podskoki, tyle gracyi było w jéj poruszeniach, a twarz jéj była tak rozpromieniona, że najzimniejszy skeptyk byłby w téj chwili uwierzył, iż jakieś wielkie i piękne uczucie zagrało w téj chwili w duszy téj kobiety!

Wstałem i ja, bo potrzebowałem w téj chwili ruchu, aby przynajmniéj pełniejszą piersią odetchnąć!

Spostrzegłem, że w tym krótkim czasie sytuacja moja w salonie znacznie się zmieniła.

Kilku młodych ludzi zbliżyło się do mnie, i przypomniało się mojéj pamięci jeszcze z lat szkolnych.

Otyły jegomość z brylokami zawezwał pana Mansweta, aby mnie jemu przedstawił i rozmawiał ze mną o zagranicy dosyć długo.

Do naszego kółka zbliżył się i sędziwy pan X. któremu również przedstawiłem się, jak tego widocznie żądał.

A kiedy lokaje zaczęli roznosić herbatę i przekąski, Miranda przyprowadziła za sobą lokaja z tacą do mnie i drobną swoją rączką wybierała mi cukry i konserwy!...

Byłem najszczęśliwszym z najszczęśliwszych!

Cały ten wieczór stanowił najpiękniejszą kartę w mojem życiu! (d. c. n)

BOHATER PIÓRA

PRZEZ

E. WERNERA,

TŁOMACZONE Z NIEMIECKIEGO.

(Dokończenie.)

— Nie jest równy mnie! Jesteś Miss Jenny, bardzo szczerą. To pewna, że w twoich oczach pan Fernow nie ma równego sobie na całym świecie, i jemu też nie poważyłabyś się podać wniosku sprzedania swéj narzeczonéj za jakiebądź pieniądze. Nie gniewaj się pani, wszakże widzę, jak cała istota twoja oburza się na samą myśl o tem. Jemu nie, mnie tylko można było taką krzywdę wyrządzić. Dłużej Alison nie umiał już panować nad sobą; »dawna, dzika namiętność przełamała nagle stawione jéj zapory. Pani śmiałaś mnie taką uczynić propozycyę! Mnie posądzasz o taki podły handel! Pani masz czoło traktować mnie, Alisona, jakbym był nikczemnym lichwiarzem, który słowo swoje i honor za twoje dolary sprzedać jest zdolny....Jenny, na Boga, tę obrazę przypłacisz mi pani.

Jenny cofnęła się przestraszona, spojrzała na niego ze zdumieniem, jak gdyby go wcale nie rozumiała. Ona na takie przyjęcie swego wniosku nie była wcale przygotowaną.

Henryk pochwycił znowu papier z biórka i gniotąc go wściekle w ręku, mówił z oburzeniem. Za ten nędzny świstek chciałaś się pani wykupić odemnie, a potem pieniądze twoje i pogardę twoją cisnąć mi w oczy! Widziałaś we mnie zawsze i wiecznie tylko człowieka za pieniędzmi goniącego....być może, że prosta rachuba zbliżyła mnie do ciebie, wkrótce atoli, poznawszy cię, postrzegłem co innego w tobie, niż twoje dolary. Kochałem cię Jenny, kochałem aż do szaleństwa, a kochałem tem goręcéj, im zimniéj ty się odemnie odsuwałaś, aż do chwili, kiedy ten Niemiec o niebieskich oczach zaszedł mi drogę i nauczył mnie was oboje nienawidzieć. O mojéj z nim rozmowie wiesz pani tylko tyle com ci sam powiedział, a nie domyślasz się co między nami zaszło owéj nocy, kiedy brat twój umarł. Dowiedz się zatem, że chciałem zostać jego mordercą, ponieważ mi pojedynku odmówił. Tak daleko rachuba zaprowadziła mnie, spekulanta, żem zapomniał o wszystkiem, żem życie, honor,przyszłość stawiał na kartę, dla tego jedynego dobra, które wydrzeć mi zamierzono. Czy pani teraz pojmujesz, czem byłaś dla mnie i dla czego zatrzymać cię muszę? Wiem, że dla mnie nie ma już szczęścia, że dom mój stanie się prawdziwem piekłem, ale wiem także, że jeżeli nie moja ręka,to żadna siła ziemska oderwać was od siebie nie potrafi. I ta ręka moja spełnić to musi, niechaj twój majątek mój majątek, przepadnie do ostatniego grosza, niechaj wszystko przepadnie....on ciebie posiadać nie będzie.

Podarł papier i ze wzgardą rzucił go od siebie, poczem zbliżył się gwałtownym krokiem do okna i machinalnie wpatrzył się w ogród.

Jenny stała jak posąg,przerażona tym gwałtownym wybuchem uczucia, którego się w Henryku nigdy nie domyślała. Zimny Alison dopiero teraz i to po raz pierwszy stawał przed nią z takiem obliczem, którego wyraz i ona w głębi swéj duszy poczuła, bo poczuła, że był prawdziwym, niekłamanym, i jednocześnie, wstydząc się szczerze wyrządzonej mu obrazy, pochwyciła ostatni, jeszcze ocalić ją mogący promyk nadziei. Jenny wiedziała że kobieta kochana jest wszech władną, niezwyciężoną panią.

Henryk stojąc przy oknie, został lekko ujętym za ramię. Obejrzał się, i spostrzegł Jenny, stojącą tuż przy jego boku, ale poprzednia duma i wzgarda znikły zupełnie z jéj oblicza, a głowa jéj była pokornie prawie pochylona jak głowa winowajcy, pięknych oczu swoich nie śmiała podnieść na Henryka.

— Obraziłam pana! rzekła głosem cichym, jakby błagającym przebaczenia. Ja....nie sądziłam że pan kochać możesz?

Henryk wzdrygnął się, bo odgadł co go teraz czekało. Dla tego też czoło jego jeszcze głębsze pokryły bruzdy, rysy twarzy surowszy przybrały wyraz, a cała postać wyprężyła się do silnego żelaznego oporu.

— Dosyć już tych wyznań! rzekł zimno i niechętnie. Proszę Miss Forest jeszcze raz o oznaczenie dnia naszego ślubu. Na odpowiedź czekam natychmiast czekam nieodstępnie.

Jenny stała zawsze jeszcze z pochyloną głową i wzrokiem w ziemię wlepionym. Nagle, złożyła obie rączki na jego rumieniu.

— Henryku!

On zadrżał i odwrócił się.

— Pozostawiłeś mi pan straszny wybór i straszną była groźba, przez którą mnie do milczącéj bezczynności zniewoliłeś. Jego życie i moja przyszłość są teraz w twojem ręku, panie Henryku!....powróć mu to nieszczęśliwe słowo, a mnie, moją wolność.

Henryk odrącił gwałtownie jéj ręce. Co znaczy ta mowa, Jenny? Czy pani myślisz mnie takiemi słowy przekonać? Czy pani w wyrazach moich nic więcéj nie odgadłaś nad to, że ja tu teraz jakąś wspaniałomyślną scenę odegram i panią szlachetnie w jego czułe objęcia złożę? Ani słowa więcéj, ani jednego słowa....inaczéj, mógłbym się grubo zapomnieć.

Zakaz ten brzmiał surowo i groźnie, ale był bezskutecznym. Jenny wiedziała już teraz o swéj potędze i zastraszyć się nie dała.

— Nie składam już przed panem mojego majątku, bo wszystko inne cobym ci dać mogła, należy także do innego.Nie mogłam nic wymódz, nic kupić od pana, więc *proszę* cię teraz panie Henryku, dla twojego i mojego szczęścia....powróć mi wolność.

I upadła przed nim na kolana, głos jéj drżał lękliwem błaganiem, tkliwą, rzewną prośbą, był głosem, jakiego nigdy jeszcze z ust jéj nie słyszał; wielkie, błękitne oczy Jenny wzniesione były ku niemu tak wymownie i zalane były tak palącemi jego serce łzami, cała jéj postać była tak zmieniona, tak niepodobna do postaci znanéj mu dawniéj Miss Forest, że Henryk dopiero teraz uczuł całą wielkość straty, zjakąby mu się rozstać przyszło.

— Jenny! u moich nóg! Mógłbym rzeczywiście dumnym być z takiego tryumfu, gdybym nie wiedział, komu go zawdzięczam. Miss Forest wolałaby raczéj umrzeć, wolałaby raczéj całe życie nędzy i męczarni przecierpieć, niż jednem słowem prośby splamić dumne usta swoje. Ale skoro idzie o jego szczęście, o jego przyszłość, wtedy można najboleśniejsze upokorzenie przyjąć na swoje ramiona, a chociażby wrodzona duma tysiącem ran zakrwawić się miała wtedy można błagać, klękać nawet, bo to nie o ciebie ale o niego idzie! Nieprawdaż Jenny?

Tą razą Jenny pozostała obojętną na straszne szyderstwo Henryka; czuła tylko niezmierną gorycz słów jego i źródło z którego ona płynęła i czuła zarazem, że mimo tego żelaznego oporu zbliżała się chwila jéj zwycięztwa.

— Prawda! rzekła cicho, zawsze jeszcze wpatrując się weń swojemi ślicznemi gorącemi łzami zalanemi oczyma.

Henryk drżący gwałtownem wzruszeniem, pochylił się ku niéj, podniósł ją od swych kolan i ujęwszy w swoje ramiona jak gdyby ją na wieki przytrzymać w nich pragnął, przycisnął do serca swojego. W rysach jego odbijała się znowu cała dzika namiętność, objawiona podczas owéj nocy jesiennéj, pierś jego wznosiła się i opadała pod naciskiem straszliwéj walki wewnętrznéj, ale w tem gwałtownem szamotaniu, było teraz coś szlachetniejszego jak nienawiść i wściekłość, była tam głucha, niewysłowiona, dręcząca boleść, która całą istotę tego żelaznego hartu człowieka wstrząsała.

Jenny widziała dobrze tę jego wewnętrzną walkę i nie miała odwagi dłużéj prosić, chociaż czuła, że jedno słowo jeszcze z ust jéj wyrzeczone, byłoby wszystko rozstrzygło; milczała więc, a głowa jéj opadła bezwładnie na jego ramię, tylko kilka ciężkich łez stoczyło się z wolna z jéj oczów na rękę Alisona.

Wtedy uczuła nagle usta Henryka gorące i drżące na swojem czole.

— Bądź zdrowa powiedział głosem stłumionym, potem odepchnął ją od siebie i spiesznie wybiegł z pokoju. Jenny pozostała sama.

Wiosna nad Renem! To myśl, która najmilsze obudza wspomnienia. Wprawdzie wiosna powraca wszędzie, czy to pośród fal i bałwanów morskich, czy śród chłodu cienistych lasów, czy na szczytach gór wyniosłych, czy na kwiecistych równinach przy dźwięcznym śpiewie skowronków, ale nigdzie ona nie powraca tak mile uśmiechnięta,jak tutaj, do téj kolebki romantyczności niemieckiéj, którą cudnem, poetycznem owiewa tchnieniem. Wiosna tedy zstępowała na kraje nadreńskie, składając pierwszą błogosławiącą rękę na pola i winnice i na ich przyszłe urodzaje, przyświecając ożywczem słońcem lasom, polom, skałom i posiwiałym w ciągu długich wieków zamkom...

Wiosna, jaką tylko w tym roku z radosnem uczuciem w Niemczech witano, kiedy całemu narodowi niosła z sobą uroczystość, zwycięztwa i zmartwychwstania, a światu pokój upragniony.

Dalsze okolice miasta B. mimo prześlicznéj pogody były jakby obumarłe, a poważny mężczyzna i młoda dama wstępujący powolnie na górę zamkową, zdawali się być dokoła jedynymi używającymi przechadzki wędrowcami. Czy to przypadkowo, czy z rozmysłem, Jenny dzisiaj po raz pierwszy porzuciła żałobę; wprawdzie ubranie jéj było jeszcze ciemne i bez żadnych ozdób, ale nie było już wyłącznie czarnem, i zdawało się prawie, że razem z tą żałobą ustąpił i z jéj lica ten wyraz ciężkiego żalu i smutku, który je przez całą zachmurzał zimę. W jéj obliczu było także coś jakby tchnienie wiosenne, jakby cicha, błoga nadzieja, przebijająca się nieśmiało jeszcze z pod lodowéj powłoki i nie mająca jeszcze odwagi śmiało zajrzeć w oczy dalekiemu szczęściu i przyszłości. Był tam szczególny jakiś zarys w tem dumnem energicznem obliczu dziewicy, zarys na którym mu dotąd mimo całéj jego piękności zbywało, to jest słodki, porywający wdzięk niewieści.

Atkins który obok niéj postępował, wyglądał za to bardzo, posępnie zdawało się niemal, jak gdyby całą otaczającą go piękność wiosenną poczytywał sobie za jakąś osobistą obrazę, tak ponuro spoglądał na wszystko, tak go wszystko do koła gniewało, chociaż podobno nierównie więcej jeszcze gniewało go to, czego tam wcale nie było. On nie mógł pojąć, dla czego zieloność tak wcześnie się już rozwijała, kiedy ją przymrozki nocne zwarzyć jeszcze powinny; on śmiesznem znajdował, że słońce przypiekało już jakby w miesią-

cu czerwcu, iżrzędził że z tego powodu niezawodny, deszcz upadnie, a Ren, był już dla niego dzisiaj strasznie nieznośnym, bo kiedyś poważył się jego lakierki zamoczyć, a co gorsza nawet, o mało całéj osoby jego w nurtach swoich nie pochłonął, co naturalnie Amerykanina dotąd niezmiernie oburzało. Zaprawdę, wszystko działo się już naprzewrót w tych krajach niemieckich, nic nie chciało pod dawne wracać karby, dawnego trzymać się porządku, a matka przyroda postępowała także buntowniczo śladem ludzi. Tu wiosna, ani proszona, ani zapowiedziana tak wcześnie bo przez jedną noc prawie zawitała do kraju, jak gdyby jéj niezmiernie pilno było to nowe państwo niemieckie powitać swojem słońcem i kwieciem. Tam znowu to stare i uczone gniazdo wysadza się na rozmaite uroczystości, by przyjmować swoich profesorów uniwersytetu, jakby wielkich bohaterów wojennych; tam nareszcie ów Ren czyha jakby morderca jaki na obce narodowości, które się do jego brzegów zbliżyć ośmielą, co marudny Atkins dzisiaj, stosując do dawnego wypadku jaki go przy pośliźnięciu się na brzegu rzeki spotkał, uważał za pewien rodzaj złośliwości politycznéj. Słowem, Atkins z ogólnego niezadowolenia swego do tego ostatecznego przyszedł wniosku, że na takiej ziemi dłużéj wytrzymać już nie można było, i że należało jak najspieszniéj do Ameryki powracać.

Jenny mało zważała na te objawy złego humoru swego towarzysza, albo też słuchała wszystkiego z niezwykłą sobie pobłażliwością; wiedziała ona bardzo dobrze że jedynym tego powodem był huk dział, witający w B. powracających w rodzinne strony zwycięzców. Ale, kiedy Atkins zaczął na nowo powstawać na uciążliwą drogę i nieznośny upał, rzekła nareszcie do niego z pewną niecierpliwością.

— Trzeba panu było w mieście pozostać. Moja żałoba wyłącza mnie od współudziału w tych uroczystościach, a nie chciałabym by wuj i ciotka dla mnie w domu pozostać mieli, z tego więc powodu wyszłam na tę przechadzkę. Pana nie krępują wcale takie jak moje względy i gotową jestem obejść się dzisiaj bez pańskiego towarzystwa.

Atkins skrzywił się niechętnie. Ja, co do mnie, nie czuję się wcale tak bardzo przywiązanym do tego miasta, gdzie mnie dzisiaj każdy ulicznik swoją nową potęgą świata traktuje, i gdzie każdy student wymaga ażebym duchowi niemieckiemu moją najpokorniejszą czołobitność składał.

Niechaj się oni sami wielbią i podziwiają! Wszakże istotnie dopięli już swego celu, że nietylko ten ukochany Ren zamienili na rzekę niemiecką, ale nawet granice swoje daléj posunęli. Idealizm germański zaczyna rzeczywiście być praktycznym, ale ja w ciągu ostatnich kilku tygodni, tyle już tego nowego niemieckiego państwa użyłem we wszystkich klubach i towarzystwach, że nareszcie gorąco pragnę coś innego jeszcze posłyszeć. Chciałbym już raz być w Ameryce, chociaż i to może będzie toż samo co dostać się z deszczu pod rynnę, bo z tamtejszymi Niemcami nie wiem jak my daléj wytrzymamy.

Na ten wybuch goryczy swego towarzysza, Jenny uśmiechnęła się nieznacznie i odpowiedziała spokojnie:

— Trzeba będzie panu przyzwyczaić się nareszcie pomimo całéj niechęci z twéj strony, do uznania téj nowéj potęgi świata. Trudnoby to przyszło odmienić zwłaszcza, że w końcu i pan raczysz może w swoim własnym kraju złożyć cześć naszemu duchowi germańskiemu.

— *Naszemu? W twoim kraju?* powtórzył Atkins zdziwiony. Ah! prawda! Zapominam zawsze, żeś już teraz zupełnie do Niemców przeszła i o nich tylko marzysz. Nareszcie stanęliśmy na górze. Nie pojmuję Miss Jenny, jak ztąd chcesz pani dopatrzyć się jakiegoś pięknego widoku? Słońce tak olśniewa oczy, że nic nie widać prócz jego oślepiających promieni, rzeka tak przerażająco połyskuje, że aż oczy bolą, a te stare mury wyglądają jakby się do reszty zawalić i nas oboje zabić tutaj chciały. Oj, strzeż się pani!

Jenny nic nie odpowiedziawszy, usiadła pozwalając swemu towarzyszowi swarzyć się do woli ze słońcem, rzeką i zwaliskami. Ten atoli, nie znalazłszy już około siebie nic takiego na coby znowu mógł powstawać, przybliżył się po chwili do niéj.

— Żałuję tylko, rzekł z wyrazem złośliwego zadowolenia, żałuję niezmiernie że miasto B. pozbawione jest dzisiaj swego głównego bohatera. Professor Fernow nie przybył rzeczywiście ze swoim pułkiem, wieńce nad któremi się państwo Stefanowie tyle napracowali, będą musiały zwiędnąć, wspaniałe przyjęcie jakie panowie studenci ułożyli przepadnie wraz z ich zapałem, a uczone mowy powitalne panów kolegów zestarzeją się trochę. Jestem przekonany, że profesor jakiegoś pięknego wieczorka wejdzie sobie potajemnie tylnemi drzwiami i nazajutrz zrana zasiądzie z piórem w ręku przy swojem biórku jak gdyby się nic nie stało. Bardzo to do niego podobne, to jedyny Niemiec z którymby teraz jeszcze wyżyć można!

Atkins nadużywał niezwykłéj łagodności Jenny; poważył się nawet wspomnieć nazwisko, którego przez całą zimę ani razu pomiędzy sobą nie wymówili: ale miał on swoje powody do takiego postępowania. Zaczęto go teraz traktować podobnie jak doktora Stefana, odsuwając go od wszelkich stosunków familijnych i uwiadamiając o nich dopiero po zaszłym wypadku. Gniewało go to niezmiernie; chciał wiedzieć koniecznie co zaszło pomiędzy jego pupillą a Henrykiem, i jak rzeczy pomiędzy nimi stanęły: ponieważ zaś nie miał odwagi pytać bezpośrednio oto, przeto uciekł się do tego środka.

Tymczasem i to go zawiodło. Jenny zarumieniła się wprawdzie, gdy jéj o Fernowie wspomniano, ale pozostała spokojną i usta jéj nie wyrzekły ani słowa. Trzeba więc było czegoś doniośléjszego niż proste wymienienie nazwiska, ażeby ją z tego uporczywego milczenia wyprowadzić. Atkins sądził że mu należało energiczniéj do osiągnienia tego celu przystąpić.

— Nasze przygotowania do podróży ulegną zapewne niejakiéj zmianie, rzekł znowu dobitnie i badawczo. Nagły odjazd Henryka skrzyżował wszystkie nasze plany. Nie zostałem wprawdzie, tu już cała jego drażliwość na jaw wystąpiła, nie zostałem wprawdzie uwiadomiony, dla czego on wczoraj wieczorem tak nagle wpadł do mego mieszkania, zażądał swoich rzeczy i natychmiast na banhof odjechał, i to w usposobieniu takiem że nie śmiałem nawet zbliżyć się do niego, ale w interesie mego własnego powrotu, chciałbym się nareszcie od pani dowiedzieć, coś w tym przedmiocie postanowiła?

Jenny spuściła oczy. Od pana dopiero dowiaduję się o wyjeździe Henryka. Czy nie zostawił do mnie żadnego pisma.

— Nie! Ani nawet pozdrowienia; oświadczył mi tylko, że pierwszym okrętem jaki w Hamburgu znajdzie gotowym, powróci do Ameryki.

Jenny nic nie odpowiedziała, tylko z jéj piersi wydobyło się głębokie westchnienie, w którem więcéj zdawało się przebijać boleści niż ulżenia.

— Jenny, coś pani wyrządziła Henrykowi? zapytał Atkins cicho, pochyliwszy się do niéj. Wyglądał strasznie po powrocie od pani.

Spojrzała na niego smutno, a głos jéj był stłumiony i niepewny.

— Mówiłeś pan zawsze, że mnie kochał! Nie wierzyłam temu nigdy; sądziłam że pieniądz był jedyną potęgą przed którą ulegał.

— I pieniądz pozostanie nią dla niego na przyszłość, rzekł Atkins sucho. Taki człowiek jak Henryk tylko raz jeden może popaść w podobną słabość. Jemu należało tylko pomiędzy Amerykankami szukać dla siebie żony, tam jako dziedzic i przyszła głowa domu Alison z pewnością nie byłby dostał odkosza. Nie dobre to jest mięszanie krwi amerykańskiéj z niemiecką, pani to sama widzisz teraz, i ta nauka wystarczy pewnie Henrykowi na całe życie. Zresztą nie jest to w jego naturze, ażeby się długo z jakąś nieszczęśliwą miłością nosił, i nie wątpię o tem, że jeszcze w ciągu tego roku dowiemy się o jego małżeństwie z jedną z naszych bogatych dziedziczek.

— Daj to Boże! rzekła Jenny głosem z głębi serca idącym, poczem podniosła się, i oparła rękę na murze.

Atkins stał w milczeniu obok niéj, nareszcie zapytał po chwili: czy już nie pójdziemy daléj? Stare zamczysko jest w rzeczy saméj bardzo zajmujące, ale tu jest jakiś przewiew w téj średniowiecznéj romantyczności. Sądziłbym że lepiéj będzie wrócić w tę oto prześliczną dolinę.

— Ja zostanę jeszcze, odpowiedziała Jenny stanowczo: Ale nie mam bynajmniéj zamiaru wystawiać pana dłużéj na tutejsze przewiewy romantyczne. Pan zapewne zwrócisz swą przechadzkę ku M. w takim razie spotkamy się znowu w powrocie.

Życzenie było dosyć wyraźne i Atkins chętnie się na nie zgodził. Zwaliska zamku były zbyt nudnemi dla niego, więc z przyjemnością poszedł za daną sobie wskazówką.

— Zdaje mi się że chyba przymuszony będę sam powracać do Ameryki, rzekł sam do siebie, spuszczając się boczną ścieżką na dolinę. A obok tego, będę jeszcze miał i tę nadzwyczajną przyjemność wysłania tutaj całego majątku panny Forest, majątku na którym Henryk całą swą energię i rachuby rozbił a który teraz wpadnie w ręce tego śmiesznego Niemca, co się nawet wcale o niego nie troszczył i który w razie potrzeby nawet przy swojéj profesorskiéj pensji byłby się ożenił. Nie wątpię już wcale, że ten człowiek karjerę zrobi. Wszakże to już dzisiaj wysławiają go wszędzie jako przyszły genjusz poetycki. Musi tam jednakże coś być w tym wielkim hałasie, jaki jego poezje wywołują, a jeżeli się będzie miało miljonowy majątek i taką żonę jak Jenny, to można przy jéj pomocy zajść będzie daleko. Nasza nieboszczka pani Forest byłaby teraz tryumfowała... Ale chciałbym wiedzieć, coby też to mąż jéj powiedział, że jego bogactwa dostaną się w niemieckie ręce i niemieckiéj sprawie posługiwać będą? Sądzę, że... tu Atkius zatrzymał się nagle i westchnąwszy, po chwili namysłu dodał: sądzę że na to wszystko powiedział by tylko „Amen!“

Jenny pozostała sama. Odetchnęła swobodnie, jak gdyby się jakiego ciężaru pozbyła i znowu usiadła na dawnem miejscu. Stare zwaliska zamkowe opromieniało także wiosenne słońce, a pośród nich i na nich wszystko nowem kwitło i oddychało życiem. Bluszcz otaczał znowu swoją zieloną siecią szare kamienie murów, a kołyszące się pod lekkim powiewem wiatru powoje, zwieszały się w gęstych splotach nad przepaścią. Dokoła i u stóp góry zamkowéj, rozpościerała się rozległa równina, a daléj, daléj połyskiwał wspaniały Ren jak gdyby zaledwie kilka godzin upłynęło od tego dnia, w którym tu Jenny podobnie jak dzisiaj siedziała, jak gdyby jesień i zima ze wszystkiemi łzami i walkami i ze

swoim całunem żałobnym, tylko jakimś ciężkim, niemiłym snem była.

I jak wówczas, posłyszała teraz Jenny jakieś zbliżające się kroki. Miałżeby to Atkins powracać? To być nie może! Nie były to powolne, spokojne kroki Amerykanina, zbliżały się one coraz więcéj, cień postaci męzkiéj padł u jéj stóp, Jenny porwała się żywym oblana szkarłatem, drżąca, niezdolna nawet jednego krzyku przestrachu lub zdziwienia wydać z piersi swoich..... przed nią stał Walter Fernow.

Wbiegł on przyśpieszonym krokiem na górę, ale tym razem wbiegł nie tak zadyszany i znużony jak niegdyś, podczas spokojnych przechadzek swoich; teraz podobne wysiłki były dla niego prawdziwą igraszką. Jednakże i w téj chwili znalazła się jakaś przyczyna, która mu oddech w piersi zaparła i żywy rumieniec na lica wywołała. Chciał już pospieszyć ku dziewicy, lecz zatrzymał się nagle i jak winowajca spuścił oczy w ziemię; zdawałoby się, że razem z dawnym ubiorem, który dzisiaj pierwszy raz włożył na siebie, powróciły mu także dawne wahanie i nieśmiałość.

— Pan Fernow..... tutaj?

Wyraz bolesnego rozczarowania wystąpił na lica Waltera. On się zapewne innego powitania spodziewał; znikł żywy rumieniec i dawny, blady smutek rozlał się na jego twarzy. Tymczasem Jenny przyszła nieco do siebie, chociaż nie mogła jeszcze zupełnie zapanować nad drżeniem, jakie całe jéj ciało przebiegało i zdradziecko w jéj głosie jeszcze się przebijało.

— Ja ... my.... słyszeliśmy, że pan nie przybyłeś ze swoim pułkiem. Mój wuj i doktór Behrend tak nam przynajmniéj mówili.

— Rzeczywiście, nie przyszedłem razem z swoimi towarzyszami; przybyłem tu dopiero przed godziną. Nie zastałem doktora Stefana i jego żony w domu, a nie byłem też w usposobieniu wejścia od razu w jakiś chaos uroczystych przyjęć... Wyszedłem więc na przechadzkę.... i przypadkiem zaszedłem, aż tutaj....

Twarz jego zadawała kłamstwo powyższym słowom. Dowiedział on się w domu, że Jenny nie znajdowała się na wiejskiéj uroczystości, i że kilkogodzinna jéj przechadzka nie mogła być bez jakiegoś powodu. Zatem więcéj przeczucie, niż ślepy przypadek sprowadziły go tutaj. Jenny musiała się tego domyśleć, gdyż lica jéj jeszcze ciemniejszą pokryły się purpurą, a oczy powolnie utonęły w ziemi, gdy jednocześnie drżąca jéj ręka zaczęła szukać jakiéjś podpory na blizkim murze. Walter, wahając się jeszcze, przystąpił nieco bliżéj.

— Przestraszyłem panią! rzekł głosem stłumionym. Nie było wcale moim zamiarem powrócić tak niespodziewanie, zwłaszcza, że teraz szczególniéj postanowiłem unikać naszego miasta, jednakże przypadkowe spotkanie z panem Alison.....

— Z Henrykiem! zawołała Jenny przestraszona. Mówiłeś pan z nim?

— Nie, widziałem go tylko. Przybył do hotelu w mieście K. gdzie i ja stanąłem. Spotkaliśmy się na schodach, lecz przeszedł obok mnie ponury i milczący, jak gdyby mnie nigdy nie znał. Dzisiaj rano oddano mi bilet z zawiadomieniem, że pan który go przysłał do mnie, już odjechał, to skłoniło mnie do wcześniejszego niż zamierzałem przybycia tutaj.

I podał jéj kartkę, zapisaną kilku tylko wierszami.

— Uwalniam pana od obietnicy spotkania się ze mną po skończonéj wojnie. Nie będzie już tego potrzeby; ocean stanowić będzie na przyszłość bezpieczne pomiędzy nami granice, zapewniające panu owoce odniesionego zwycięztwa. Nie przeszkadzam panu powrócić do miasta B. gdzie zażądasz objaśnienia wszystkiego co zaszło. W tych dniach opuszczam Europę na zawsze. Henryk Alison.

Jenny, trzymała w głębokiem milczeniu podany jéj bilet, jednakże oczy jéj mimowolnie zadrżały jakąś cisnącą się do nich łezką. Niepodobna jest kobiecie pozostać zupełnie obojętną, jeżeli widzi serce dla niéj tylko zakrwawione, a tem więcéj, jeżeli widzi, że ona była pierwszą i jedyną, która to dumne serce o taką krwawą ranę przyprawiła.

Wzrok Waltera tonął badawczo w jéj obliczu, wzrok ten był ponuro, boleśnie natężony, jakby w pełnym udręczenia niepokoju.

— Poruczono mi tutaj żądać objaśnienia, a nie wiem jeszcze czy Miss Forest udzielić mi je raczy. Przy ostatniem spotkaniu naszem kiedym z L. powrócił, widziałem pana Alisona tak gwałtownie ściskającego rękę pani w swéj dłoni, jak gdyby tym jednym uściskiem chciał cały świat przekonać o swoich prawach do téj ręki. Nie miał on potrzeby zapobiegać tak uporczywie, wszelkiemu naszemu spotkaniu, naszemu sam na sam, wszakże czas i okoliczności nie pozwalały nam wtedy na inne słowa, jak tylko na słowa żalu i żałoby po zmarłym, w którym oboje tyleśmy utracili.

Jenny wstrząsnęła głową przecząco. Pan utraciłeś tylko sługę. Losem brata mojego była ciężka służba od najpierwszej młodości, a życie jego byłoby jeszcze przykrzejszem, gdyby nie był łaskawego, tak dobrego znalazł pana. Ja...nie ulżyłam mu tego losu, dopóki to w mojéj mocy było... a później nic mu także więcéj dać nie mogłam, prócz tego zimnego marmuru na jego grobie....

Walter stał tuż przy niéj, lekko położył swą rękę na jéj drżącéj prawicy, i dodał: i ostatniego uściśnienia siostry.

Bolesna gorycz odbiła się na ustach Jenny. Drogo on to uściśnienie opłacił, bo kosztem krwi własnéj. Gdybym się wtedy nie była zbliżyła do niego, byłby szczęśliwie powrócił razem z innymi; moje ocalenie stało się jego zgubą. Wiem że przynoszę tylko nieszczęście lub boleść wszystkiemu co mnie kocha; brata przyprawiłam o śmierć, Henryka uczyniłam nieszczęśliwym....i pan...unikaj mnie, bo ja szczęścia dać ci nie mogę.

Gwałtownem poruszeniem odsunęła się od Waltera i odwrócona stanęła nad pochyłością góry: śmierć Fryderyka zawsze jeszcze dręczyła jéj duszę. Rysy jéj znowu przybrały dawną surowość i gorycz, a ta tak usilnie tłumiona gorycz, która się w nich przebijała, zdradzała aż nadto, jak poważnie rozumiała te słowa przed któremi wszystkie nadzieje i marzenia przyszłości upadały!

— Joanno!

Był to znowu tenże sam głos, który niegdyś w zamku S. tak potężnie przemówił do jéj serca, pod wpływem którego zapomniała wszelkich walk i boleści. Zmusił on ją i teraz do odwrócenia się i spojrzenia na Waltera, a gdy się oczy ich spotkały, znikła powoli z jéj rysów surowość i gorycz, a zajęła ich miejsce niewypowiedziana słodycz i tkliwość.

— Joanno! ty i mnie wyrządziłaś niegdyś wielką boleść, boleść straszną; było to owéj nocy jesiennéj kiedym cię błagał o uwolnienie się od krępujących cię węzłów, i kiedym był gotów poświęcić się na wszystko aby cię tylko posiąść. Wtedy wyrzekłaś to nieszczęsne *nigdy*! Choćby mi Alison wolność powrócił, choćby wszelka znikła pomiędzy nami zapora, nigdy Walterze! Te słowa stoją jeszcze groźnie pomiędzy nami obojgiem, one odpychały mnie od ciebie aż do téj chwili. Czy nie chcesz mi wytłomaczyć téj dziwnéj dla mnie zagadki?

Jenny pochyliła głowę, milczała chwilkę czasu, poczem rzekła głosem cichym: Znalazłam ślad mego brata, dowiedziałam się, że był wychowywany u księdza Hartwiga, a tożsamo nazwisko słyszałam z ust twoich, jako nazwisko twego opiekuna.

— Na Boga! przecież nie myślałaś....?

— Tak myślałam. Nie łaj mnie Walterze, że uważałam to możebnem; cierpiałam okropnie pod wpływem tego nieszczęsnego, błędnego przypuszczenia.

Usta dumnéj Jenny Forest zniżyły się nareszcie do ostatniego wyznania, a w oczach jéj błysnęły łzy rozrzewnienia. Dawne, jakeśmy wspomnieli wyżéj światło „Zorzy północnéj" znikło z nich na zawsze, z niem stopiły się zimne lody, a w ich miejsce tryskało jasne życie wiosenne. To, co Henryk wczoraj przez jednę chwilę tylko widział, kiedy błagając upadła przed nim na kolana, co go zniewoliło do zrzeczenia się jéj ręki, i czegoby bez tego tkliwego spojrzenia nie była pozyskała, to spływało teraz całą pełnią na tego, który to spojrzenie zbudzić umiał. Walter czuł teraz cały czarodziejski urok téj istoty która tak silnie porywać do siebie, tak niewypowiedzianie uszczęśliwiać umiała, i która nareszcie po raz pierwszy cała bezwarunkowo się poddawała.

Nie było tu ani starań, ani oświadczyn żadnych pomiędzy obojgiem, ale było to jedno na czem pierwszym tak uroczystym i formalnym zaręczynom zbywało: to jest, żywy, gorący rumieniec, tkliwe oddanie się, łzy prawdziwego szczęścia w oczach narzeczonéj.... i namiętna miłość narzeczonego, pałająca całym ogniem i natchnieniem, któréj zimna nie powściągała rachuba. Jenny czuła teraz w jego objęciach, że ów „marzyciel" umiał tak silnie tak gorąco kochać, jak umiał piórem przy swojem biórku, a orężem na polu bitwy władać.

W chwilę potem zaszeleściały krzewy u stóp zwalisk zamkowych, i z po za muru wynurzyła się postać Atkins'a, który i teraz znowu grał rolę szpiega. Wszakże tym razem, nie spłoszył on młodéj pary, ani nawet nie przynosił swoich życzeń; twarz bowiem jego wyrażała wszystkie inne prócz chęci złożenia swoich powinszowań. Atkins pokazał się tylko i spiesznie zawrócił do miasta.

— Szczególna rzecz. W Niemczech nawet miłość jest inna jak u nas. Straciliśmy pannę Forest, jak tylko noga jéj stanęła na téj ziemi, to wstyd prawdziwy! A wszystkiemu winien jest tylko ten przeklęty Ren ze swoją całą romantycznością!

Potem, niechętnym wzrokiem spojrzał na nienawistną sobie rzekę i odwrócił się od niéj; Ren przecież nie bardzo zdawał się brać do serca tę niełaskę Amerykanina. W falach jego iskrzyło się i błyszczało, jak gdyby odwieczne skały Nibelungów wybiły się z głębi jego toni i roztopionem złotem do brzegów napływały, a potężna rzeka szumiała i szumiała daléj, bo na jéj zielonych bałwanach wiosna i pokój płynęły w sąsiednie i dalekie kraje.

KONIEC.

MARZENIA GILBERTY

OPOWIADANIE

Amadeusza Acharda.

I.

Po nie wiedzieć ilu latach, Gilberta z pewnością byłaby jeszcze pamiętała w najdrobniejszych szczegółach pierwszy swój wyjazd z rodzinnego zamku La Marnière, chociaż była wtedy bardzo malutkiem dzieckiem. Wspomnienie to tkwiło w niéj nienaruszone ręką czasu, górując pośród innych coraz bardziéj zamglonych, jak bryła granitu sterczącą wśród równiny. Przy niem, wszystko malało. Gilberta nie umiała nigdy pomyśleć o téj chwili bez dreszczu. Przez cały ów dzień śnieg nie przestał pruszyć nawet na chwilę. Ojciec jéj przyjechał z rana; przybywał zawsze do zamku niespodziewanie i w podobny sposób odjeżdżał. Gilberta nawykła do odgłosu pocztowych dzwonków zwiastujących jego przybycie, słyszała je nieraz słuchem wyobraźni i małem dzieckiem będąc, bawiła się tą rozrywką. Późniéj wszelako, poczęła się temu dziwić, że odkąd zasięgała jéj pamięć, ojciec gościem tylko bywał w domu, a kiedy o przyczynę tego zapytywała matkę, nie otrzymywała żadnéj od niéj odpowiedzi. Owego wieczoru, pani de Viellepreux miała długą z mężem rozmowę. Gilberta przez chwilę tylko widziała ojca, przywitawszy go, powróciła zaraz do ogrodu bawić się karmieniem ptaszków i ulepianiem gałek ze śniegu. Wśród tego zajęcia, została zawołaną do ojca. Gdy wbiegła do jego pokoju w wesołych podskokach, noc już zaległa ową obszerną komnatę, gdyż mrok zwiększały gęste chmury zaciemniające niebo. Podczas gdy Gilberta szukała wzrokiem matki przy słabych odblaskach ognia dogasającego na kominku, uczuła że ją ktoś podniósł od ziemi i w twarz pocałował. Żywszy błysk płomienia ukazał jéj chwilowo ojca, on to trzymał ją w objęciach. Miał on na sobie podróżne ubranie. Ręce dziewczynki oplotły mu szyję i rzekła głaszcząc futro jego kołnierza:

— Czy już odjeżdżasz ojcze?

— Tak jest, moje dziecię.

— A kiedy powrócisz?

Uściskał ją znowu, postawił na ziemi i wyszedł nic nie odpowiedziawszy. Na dziedzińcu rozległy się dzwonki pocztowe. Pani de Villepreux, która stała dotąd przed kominkiem, podeszła szybko ku oknu i uchyliwszy firankę, oparła czoło o szybę. Twarz miała bardzo bladą i usta jéj drżały. Gdy powóz ruszył z miejsca, zachwiała się jak gdyby siły ją opuszczały. Przez chwilę popatrzała jeszcze na światła latarni, które błyszczały wśród ciemności uciekając coraz daléj, potem odeszła od okna, zwolna, ledwie się na nogach trzymając, i doszedłszy do krzesła, padła w nie jak nieżywa. Gilberta rzuciła się z wykrzykiem przerażenia i poczęła z płaczem ją całować.

— To nic—nie lękaj się, wyszeptała matka. Zostaw mię samą, moje dziecię.

Wstała z miejsca i zrobiła parę kroków, chcąc przemódz swą niemoc, ale w tem twarz jéj zmieniła się nagle, zakryła chustką usta i padła omdlała na ziemię. Na krzyk dziecięcia nadbiegli słudzy. Znaleźli Gilbertę tulącą do siebie matkę z głośnem łkaniem.

— Mamo droga, co ci takiego? wołała z płaczem. Odezwij się... powiedz choć jedno słowo... Boże mój, co to jest?.. czyś umarła?...

Na bladéj twarzy pani de Villepreux znać było wysilenia jakie czyniła, słysząc sercem raczéj niż uchem głos i płacz córki. Gdy wreszcie zdołała oczy otworzyć, rzekła odejmując od szyi oplatające ją ręce Gilberty.

— Uspokój się... uspokój się moje dziecię. Alboż to.. tak od razu człowiek umiera?..

Potem całując córkę z wyrazem poddania się nie całkiem wolnego od pewnéj goryczy, dodała z cicha.

— Cierpię, widzisz zatem że żyję... Bądź spokojna i milcz drogie moje dziecię.

Po chwili, podniosła się i nic więcéj nie mówiąc, wskazała drzwi córce. Gilberta, nawykła do posłuszeństwa, wyszła zaraz z pokoju, ale serce jéj ścisnęła myśl o cierpieniu matki i przez czas jakiś pozostała w korytarzu, zatrzymując oddech w piersi i nasłuchając co się u niéj działo.

Gdy ją zawołano na herbatę, zastała matkę stojącą przy tem samem oknie co pierwéj z czołem opartem o szybę, z wzrokiem w dali tonącym. Na śnieżnym kobiercu zaścielającym ziemię, widać było przy blasku księżyca, ślady kół powozu którym odjechał pan de Villepreux. Gilberta zbliżyła się po cichu i wzięła rękę matki w swe drobne dłonie. Lekkie drżenie przebiegło po całem ciele zadumanéj kobiety, zbudzona nagle zwróciła ku córce twarz któréj marmurowa bladość przejęła trwogą dziecinę.

Nazajutrz z rana, znowu powóz jakiś zajechał przed zamek. Bawiąca się wtedy na dziedzińcu Gilberta, widziała jak znoszono do niego różne pakunki. Wkrótce pani de Villepreux wyszła z sieni. Oczy miała poczerwieniałe i twarz zmęczoną jak po nocy bezsennéj. Popatrzała przez chwilę na córkę zajętą oglądaniem ubrania koni i stangreta, potem spytała czy wszystko było gotowe.

— Mamo—kto to pojedzie tym powozem? spytała Gilberta.

— Ty, moje dziecię—odpowiedziała matka.

Głos zamarł na ustach zdumionéj dziewczynki. Jakto? więc to ona miała odjechać? Dokąd, dla czego. czy może do ojca? Niewysłowione uczucie trwogi przejęło ją dreszczem. Szukając ratunku przy matce, tuliła się do jéj kolan, ta starała się ją uspokoić głaszcząc w milczeniu łagodnie jéj główkę. Po chwili, ukazała się we drzwiach ochmistrzyni Gilberty, miała w ręku torebki i drobne pakunki, które zaczęła układać w powozie. Dziewczynka płakała, chowając twarz w fałdach sukni matczynéj, pani de Villepreux zdawała się panować nad sobą, tylko lekki nerwowy kaszel zdradzał wewnętrzne jéj wzruszenie. Gdy wszystko było już w gotowości, pochyliła się ku córce i otulając ją szubką, rzekła.

— Tak być musi, drogie dziecię moje.

— Ale dla czegoż to mamo? pytała szlochając dziewczynka.

— Dla tego że być musi — odpowiedziała pani de Villepreux. Kiedyś, dodała głosem w którym rozpacz przebijała mięszając się z udanym spokojem, kiedyś zrozumiesz straszliwe znaczenie tego wyrazu.

Po chwili, Gilberta znalazła się w powozie obok nauczycielki. Na znak dany przez panią de Villepreux woźnica ruszył z miejsca. Dojeżdżając do zakrętu po za którym zamek La Marnière przestawał być widzialnym, Gilberta wychyliła się z powozu i ujrzała matkę osuwającą się na ziemię przede drzwiami głównego wejścia. Przerażona do najwyższego stopnia chciała wyskoczyć z powozu, ale zatrzymana przez nauczycielkę, upadła na pół zemdlona na poduszki. Przez czas jakiś, dalszy ciąg podróży wydawał się jéj raczéj snem niż jawą, tymczasem koła łączyły się szybko i cicho po ziemi miękkim śniegiem zasłanéj, unosząc ją coraz daléj od stron rodzinnych.

Gilberta liczyła wtedy lat niespełna ośm. W drodze płakała długo, ale wreszcie ukołysana jednostajnym ruchem powozu, zasnęła. Wieczorem znalazła się na jakiejś stacji kolei; ruch panujący w dworcu i żywe sal oświetlenie zajęły chwilowo jéj uwagę, ale gdy wsiadła z towarzyszką do wagonu, widok pól śniegiem pokrytych, na których błyszczały tu i owdzie wśród pomroki światełka zdradzające ludzkie pomieszkania, zwrócił myśl jéj ku rodzinnéj siedzibie, kędy pozostawiła wszystko co znała i co kochała na świecie. Zakryła twarz rękami i łzy znowu z jéj oczu popłynęły obficie.

Tak więc naprzemian Gilberta oddawała się żałości, lub też zapominała o niéj chwilowo, ulegając wpływom coraz nowych przedmiotów które się jé oczom nastręczały. Podróż którą odbywała kończyła się w okolicach Kolonii, przed domem wcale okazałéj powierzchowności. Powitała ją tam zupełnie obca kobieta, w średnim już wieku która po uprzejmem powitaniu, zaprowadziła do małego pokoiku z oknem na ogród wychodzącem, połączonego otwartemi drzwiami z całym szeregiem podobnych jemu pomieszkań. W każdem z nich jednakowe były sprzęty: łóżeczka, komoda, stolik i parę krzeseł; wszystko to schludne lecz bardzo skromne.

Twarz gospodyni domu nosiła wyraz łagodnego spokoju.

— Matka twoja powierzyła mi cię, moje dziecię rzekła do Gilberty, uczynię wszystko co będzie odemnie zależało, aby chęci jej były spełnione; mam nadzieję,że ze swej strony zechcesz mi dopomódz w pracy któréj się podjęłam.

Tego samego wieczoru nauczycielka odjechała z Niederbrühle—tak się nazywała owa miejscowość—zostawiając Gilbertę w zakładzie, gdzie—jak jéj to powiedziano—miała spędzić lat kilka, odwiedzając matkę tylko raz do roku, w czasie wakacyi.

II.

Pierwszej nocy którą Gilberta spędziła pod muślinową kotarą, nowego swego łóżeczka, zmęczenie przezwyciężyło w niej smutek i spała twardym snem dziecięcym. Gdy się przebudziła, wszystko w zakładzie dziwiło ją i zajmowało ale zarazem budził się w niej coraz większy niepokój tem dotkliwszy, że nie rozumiejąc języka którym w około niej rozmawiano i widząc się otoczoną obcemi twarzami, usiłowała zamknąć w sobie doznawane wrażenia i powstrzymać łzy cisnące się nieustannie do jéj oczu. Z końcem dnia uczuła się niesłychanie zmęczoną, a gdy położywszy się w łóżku usłyszała dochodzące ją śmiechy i szepty których znaczenia nie rozumiała, uczucie osamotnienia w jakiem się znajdowała ogarnęło ją jeszcze bardziej. Skryła więc twarz w poduszki żeby głośnym płaczem nie wybuchnąć.

Zakład w którym Gilberta została umieszczoną w sposób tak niespodziewany, różnił się najzupełniéj od wszystkiego co w tym rodzaju we Francyi napotkać można. Przy bardzo obszernym wykładzie różnych nauk, uczennice otrzymywały tam wszelkie wiadomości potrzebne do życia praktycznego kobiety. Prosto z sal gdzie je uczono szczegółowo historyi,geografii, i gdzie je oswajano z pięknościami sztuki i literatury ukształconych narodów, przechodziły do spiżarni, do pralni, a nawet i do kuchni. Pani Dittmer—tak się zwała kierowniczka zakładu, nie zapominała o niczem. Wychodząca z rąk jej uczennica, zarówno była gotową do spełnienia z zupełną świadomością rozlicznych obowiązków gospodyni domu, jak do stania się godną towarzyszką choćby najbardziej wykształconego człowieka. Po kolei, najstarsze z panien

kierowały gospodarstwem i zarządem zakładu. Potem, zdawały pani Dittmer sprawę ze swych czynności, a ona wynagradzała je pochwałą, lub zwracała ich uwagę na to co było do zganienia w ich zarządzie.

Wsród przeważnéj liczby niemek, znajdowały się także francuzki i angielki pomiędzy uczennicami. Zwyczajem było u pani Dittmer, że z kolei mówiono wyłącznie w zakładzie przez rok cały jednym z języków, tych trzech narodowości. Tym sposobem, każdy z nich wszczepiał się dokładnie w myśl i w pamięć dzieci; po roku pobytu na pensyi, Gilberta rozmawiała z taką łatwością po niemiecku z towarzyszkami, że trudno jej było samej uwierzyć, iż przybywając do Niederbrühle ani słowa z tego języka nie rozumiała. Doszedłszy lat piętnastu, zostawała jeszcze pod kierunkiem pani Dittmer, choć wykształcenie jej było bardzo daleko posunięte.

Każdej jesieni, we wrześniu, Gilberta przybywała na miesiąc do matki; zastawała ją zawsze posępną, bladą i milczącą. Z daleka już dostrzegała ją stojącą we drzwiach zamku, zawsze czarno ubraną, poważną i nieruchomą jak posąg. Jednym skokiem Gilberta rzucała się z powozu w jej objęcia. Obie głosu znaleść nie mogły w pierwszej chwili powitania, ale po tym pierwszym wybuchu czułości, powracała niebawem do zwykłego zamknięcia się w sobie.

W sąsiedztwie zamku, Gilberta miała nie jedną przyjaciółkę z lat dziecinnych, którą corocznie z radością witała, ale na tem też kończyły się rozrywki jej wakacji.

Zresztą tryb jéj życia w La Marnière dosyć był smutny, panowała tam poważna cisza, wśród któréj młodociany jéj umysł nie umiał się czuć swobodnym. Dodać też należy że matka czuwała nad tem, aby całoroczna praca Gilberty jak najmniéj w czasie wakacji była przerwaną, szczególniéj co się do obowiązków życia praktycznego odnosiło. W jéj towarzystwie córka zwiedzała wsie i szkółki okoliczne i wchodziła we wszystkie szczegóły domowego gospodarstwa, i tym sposobem myśli młodéj dziewczyny miały nieustannie pokarm zdrowy i posilny. Zajęcia którym się oddawała oswajały ją coraz bardziéj z poważną stroną życia i wyrabiały w niéj pewien hart, nie ujmujący jéj bynajmniéj kobiecego wdzięku i wrodzonéj wesołości.

Ojciec Gilberty zawsze rzadko i na krótko tylko pojawiał się w zamku. Jeśli czyniła w tym przedmiocie matce jakie zapytanie, ta ostatnia odwracała rozmowę lub też zbywała córkę krótką i nic nie znaczącą odpowiedzią.

Pewnego poranku Gilberta mająca wtedy lat trzynaście, przechodząc tarasem ciągnącym się pod oknami pokojów matki, usłyszała w nim wybuchy głosu zdradzającego najwyższy stopień uniesienia. Podniosłszy oczy, spostrzegła przez szyby ojca, który chodził po pokoju w gniewnem jakiemś usposobieniu. Widok tej twarzy rozczerwienionej złością przejął trwogą Gilbertę: wbiegła szybko do sąsiedniego klombu, i ztamtąd dostrzegła matkę siedzącą przy stoliku, z głową wspartą na ręku, podczas gdy mąż jej przechadzał się ciągle po pokoju, głośno rozprawiając. Ale tylko słowa przerywane dochodziły do uszu dziewczynki. Chwilami widziała ojca zatrzymującego się obok stolika przy którym siedziała pani de Villepreux. Zdawał się do niej odzywać, pytać jej o coś,ale ona milczała,blada, nieruchoma, ze wzrokiem w ziemię utkwionym. Była chwila w któréj zdało się Gilbercie, że ojciec mówi ze szczególną łagodnością, widziała nawet że składał ręce w sposób błagalny. Pani de Villepreux wzniosła zwolna oczy ku niemu, ciężkie westchnienie wydobyło się z jej piersi i potrząsła smutnie głową. Mąż ugiął przed nią kolano i podał jéj pióro: wzięła je i zawahawszy się nieco, odrzuciła od siebie. Wtedy zobaczyła że ojciec zerwał się w jednej chwili na nogi i bezprzytomny prawie, z twarzą tak straszną, że od jej widoku stłumiony wykrzyk wybiegł z piersi Gilberty, podniósł w górę obie ręce, jak gdyby pragnął zgnieść na miazgę istotę,która śmiała opór mu stawić. Matka wstała także z miejsca, i spokojna nieustraszona stała przed nim z wyrazem niezłomnego postanowienia na wybladłej twarzy.

— Kiedy tak—więc cię żegnam! krzyknął z wściekłością, i wybiegł pędem z pokoju, zatrzaskując drzwi za sobą.

Gilberta na wpół martwa od trwogi, powlokła się z wysiłkiem do pokoju matki. Znalazła ją, ocierającą pot który zwilżał jej czoło. W pierwszej chwili, pani de Villepreux pochwyciła w objęcia córkę, tuląc ją do siebie w namiętnym uścisku, ale zaraz potem uspokoiwszy się nieco, oparła rękę na ramieniu Gilberty i patrząc jéj w oczy rzekła:

— Dziecię moje kochane, tyś nic nie widziała i nic nie słyszała... Wszak mię rozumiesz?

— Rozumiem, droga matko, wyszeptała zaledwie dosłyszanym głosem Gilberta.

Przeczuwała że od téj chwili, nie miała już ojca, i w istocie po raz ostatni go wtedy widziała.

III.

Przebywając u matki podczas wakacji, Gilberta widywała dosyć często młodzieńca odwiedzającego corocznie w téjże saméj porze swą babkę zamieszkującą w sąsiedztwie. Roger de Varire, daleki krewny rodziny Villepreux, był o lat kilka starszy od Gilberty, ale wesoła jego i dziecinna trzpiotowatość zacierała tę różnicę. Obecność jego ożywiała zamek La Marnière ilekroć do niego przybywał. Gilberta słyszała nieraz, że Roger oddawał się naukom przez cały rok w Paryżu, ale kiedy się chciała od niego dowiedzieć jakiemi były te nauki, odpowiadał jéj zawsze że uczęszcza na wykłady, a jeśli z wyrazem powagi zaprawdę dziwnym na jéj młodéj i uśmiechniętéj twarzy, zapytywała jakiemi były właściwie owe wykłady, mówił jéj tylko:

— No, wykłady, rożne wykłady, zresztą cóż cię to może obchodzić?

W październiku, Gilberta powracała zawsze do Niederbrühle z uciechą dorównywającą niemal radości z jaką corocznie z tamtąd wyjeżdżała W naturze jéj było znajdować upodobanie w każdem miejscu i w każdem położeniu w którem los ją umieścił, a przynajmniéj upatrywać zawsze najlepszą jego stronę. Usposobienie to było może wynikiem dobrze pokierowanego wychowania, w każdym razie jednak przychodziła mu w pomoc wrodzona pogoda ducha, którą czas coraz bardziéj w Gilbercie rozwijał.

Studiując ją jednak uważniéj gdy już dorastała, można w niéj było dostrzedz chwilami pewne podniecenie duszy, zdradzające się w długich milczeniach i w upodobaniu do samotnych przechadzek. Jeźli kiedy towarzyszki wypatrzyły ją gdzieś na uboczu, zamyśloną nad owadem czepiającym się źdźbła trawy, lub też przechadzającą się w dalekim zakącie ogrodu, z wzrokiem ku ziemi spuszczonym i z kwiatem niedbale w ręku trzymanym, nie sprzeciwiały się jéj ani z niéj żartowały, bo ją wszystkie kochały serdecznie, tylko, nie przerywając jéj zadumy, powiadały sobie po cichu:—Oto nasza Gilberta podróżuje—po obłokach. Kiedy zapytywano jakie jéj marzenia zajmowały podczas tych rozmyślań, którym od czasu do czasu się oddawała, odpowiadała: Urządzam sobie świat po swojemu.

Ale zaraz potem dodawała z westchnieniem.

— Tylko, że kiedy już wszystko jest jak być powinno, nadchodzi jakiś wypadek i ten całą moją pracę w niwecz obraca.

— Bo też jest pewien niespodziany wypadek na który należy zawsze liczyć, a jest nim traf—rzekła jéj pewnego razu pani Dittmer.

Odpowiedź ta dała bardzo wiele do myślenia Gilbercie. Byłoż to trafu zrządzeniem, że jéj ojciec opuścił po dwakroć la Marnière w sposób, którego przypomnienie ściskało bólem jéj serce?

— Ha! w takim razie, traf jest głównym wrogiem ludzkiéj doli—rzekła sobie wreszcie. Ależ i z nim przecie do walki stanąć można.

Pewnego poranku, Gilberta kończąca już lat piętnaście, dowiedziała się niespodziewanie od pani Dittmer, że ją matka wzywa niezwłocznie do siebie. Tegoż samego dnia opuściła Niederbrühle w towarzystwie przysłanéj po nią dawnéj ochmistrzyni. W ciągu podróży nie potrafiła otrzymać żadnych objaśnień co do powodów dla których jechała do zamku La Marnière w tak niezwykłéj porze, i po kilku bezskutecznych usiłowaniach, zaniechała dalszych w tym względzie zapytań.

Dojeżdżając do zamku, Gilberta zdziwiła się nieco nie dostrzegając jak zwykle matki, czekającéj na nią z powitaniem. Pobiegła śpiesznie do jéj pokoju, i tam przy świetle lampy, ujrzała ją siedzącą przy stole zarzuconym papierami. Na widok córki, pani de Villepreux podniosła się z trudnością z krzesła. W jednéj chwili Gilberta była w jéj objęciach. Tuląc ją czule do serca, matka osunęła się bezsilna na siedzenie.

— Matko tyś chora? zawołała strwożone dziewczę...

— Nie, moje dziecię, jestem tylko zmęczona... Bywają w życiu przejścia które siły zużywają.

W téj chwili dopiero, Gilberta spostrzegła że matka nosiła czarne wełniane ubranie. Wchodząca właśnie służąca także żałobne miała suknie. Błysk złowrogi rozjaśnił myśli młodéj dziewczyny chciała przemówić, ale w tem matka rzekła, tuląc jéj głowę do piersi.

— Tak jest drogie dziecię, oprócz ciebie nie mam już na świecie nikogo.

W taki to sposób dowiedziała się Gilberta o stracie ojca. Jakkolwiek wspomnienie jego coraz mniéj było wyraźnem, łzy szczerego żalu popłynęły z jéj oczu na wieść o śmierci ojca, którego znała zaledwie. Ręce jéj objęły matkę silniejszym jeszcze uściskiem i oczy zwróciły się z niewysłowioną tęsknotą ku portretowi zmarłego. Przez chwil kilka wpatrywała się w bladą twarz, któréj czarne oczy pełne ognia i ożywione padającem wprost na nie światłem, zdawały się wzrokiem życia na nią spoglądać. Nie takim pozostał obraz ojca w wyobraźni młodéj dziewczyny. Podczas gdy w pięknych rysach portretu starała się odszukać twarzy, któréj groźny wyraz pozostał tak dokładnie wyryty w jéj pamięci, matka ucałowała ją znowu, mówiąc:

— Teraz cośmy już same na téj ziemi, Gilberto nie rozstaniemy się więcéj z sobą.

(d. c. n.)